Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 16 czerwca 1935 r. Nr. 24.



Idę do Ciebie.....

Idę do Ciebie władczą gnana siłą,
wspomnieniem, które w sercu się kołacze,
siłą, co mówi, że Ciebie zobaczę,
że znów odżyje, to co już zasnęło.

A szczęście moje takie było nikłe
i tak stopniało, jak śniegi na wiosnę,
kiedy je słońce rozpali radosne...
Musiało ulec życiu — nierozkwitłe.

Ileż to nocy prześniłam daremnych,
ileż to razy słałam pozdrowienia
Twym oczom dobrym i swoje marzenia
ku Tobie, długą drogą nocy ciemnych.

Więc dziś do Ciebie władczą siłą gnana,
wspomnieniem, które w sercu się kołacze,
idę tak pewna, że Cię dziś zobaczę,
bo dusza moja szczęściem rozśpiewana.

„LONIA“.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

7)

* * *

Od tego dnia tworzyli nierozłączną trójeczkę.

Razem chodzili na spacer, razem bawili się w piasku na placu przed blokiem familijnym. Powoli, choć nieśmiało przyłączyła się do niej i reszta dzieci i Jurek, i Zych, i Tuśka, i trzech małych Kiszków, i dwoje Spokojnych, i Marysia Wiewiorczanka.

I dzieci, które trzy miesiące jeszcze temu rzucałiby się na Jolkę i Adaśka jak sfora młodych psiaków na obcego przybłędę, dziś ubiegały się o pozwolenie bawienia się z nimi, gotowi bronić ich przed skrzywdzeniem przez kogokolwiek.

Taki to jest świat — czy to dorosłych czy dzieci.

Temu się kłaniają, kto na wadze życia idzie w górę, a pogardzają i lekceważą tych u dołu.

— — — — — — — —

Gdy wśród malców zawiązywała się przyjaźń, stosunki między dorosłymi pozostały poprawne, ale chłodne.

Panie nie zachodziły do siebie, nie narzucały się swojem towarzystwem jedna drugiej, na ulicy przechodziły obok siebie nie zatrzymując się, poprzestając na ukłonie.

* * *

Panie, zamieszkujące w obrębie fabrycznym, ogarnęła gorączka ciekawości.

— Jak się ułożą stosunki między dyrektorową a panią Gabrynią — zadawały sobie pytania, śledząc każdy krok jednej i drugiej.

Narazie jednak nie zachodziło nic, coby mogło choć częściowo zaspokoić ich ciekawość.

Panie te przy spotkaniu witały się grzecznie, rozmawiały uprzejmie ze sobą o dzieciach, o pogodzie, o służbie, mieszkaniu, rozchodziły się z przyjaznym uśmiechem.

Dzieci bawiły się zgodnie na podwórzu, a w czasie deszczu odwiedzały się w domach.

Pożycie pułkownikostwa wyglądało na szczęśliwe. Widywano ich codziennie na spacerach pieszo lub w powozie, uśmiechających się czule do siebie. Zachowanie się pułkownika w stosunku do żony przy paniach lub dzieciach, w miejscach publicznych, czy też u siebie w domu było pełne kurtuazji, delikatności cechujących głębokie uczucie.

Zaczynano wierzyć, że zauważone uprzednio zainteresowanie się pułkownika osobą pani Gabryni Gozdawiny, było złudzeniem, grą wyobraźni, gdy zachodziło znów coś, co budziło w otoczeniu na nowo niezdrową ciekawość sensacji.

* * *

Aleją Kasztanową, wiodącą z fabryki do miasta, jechał powozem dyrektor z sekretarzem.

Na zakręcie ujrzeli panią Gabrynię w jasnym kostjumie, idącą wolno przed siebie.

Pułkownik, który z ożywieniem opowiadał o zeszłorocznych manewrach pod Brodami, podczas których zabiło się dwóch ułanów, urwał w pół zdania i poczerwieniał. Ruchem nerwowym zatrzymał furmana, a gdy ten stanął, wyskoczył z powozu i szedł naprzeciw idącej.

— Może panią podwieźć, jedziemy do miasta — pytał.

Pokręciła głową przecząco.

— Nie, dziękuję, gdybym chciała jechać, wsiadłabym do tramwaju.

— Bardzo pan uprzejmy — dodała, łagodząc odmowę.

Ale ta pochwała nie zrobiła przyjemności pułkownikowi, a wprost przeciwnie, bo po twarzy przeszedł mu skurcz przykrości.

W milczeniu pocałował ją w rękę, w milczeniu wsiadł do powozu i pojechał dalej, tylko nerwowo drgała mu prawa brew i czoło marszczyło się bolesną zmarszczką raz poraz.

* * *

Zdarzenie to rozbiegło się tego samego jeszcze dnia po mieszkaniach urzędniczych, omijając tylko pułkownikową. I znów zawrzało od plotek i domysłów.

— Chyba się Boga nie boi — dziwiki się pani Zuzamieć — taką żonę i o innej myśleć i o takiem „coś" w dodatku.

* * *

Pani Gabrynia jest sama. Mąż wyjechał na jeden dzień w sprawach służbowych.

Dzieci śpią, służąca również.

Otuliła się w szal i wsunęła w fotel.

W mieszkaniu cicho i ciepło, na dworze chlupi deszcz i wyje wiatr jesienny. Z dalszych zabudowań fabrycznych dochodzi miarowy stukot maszyn, płynie pieśń z poszumem wiatru, nierówny, miejscami, zaciągany falszywie, wtóruje mu piskliwie harmonja lub zawodzące skrzypce. Ale te odgłosy płyną z oddali i wpadają w ciszę pokoju tylko z silniejszym podmuchem wichury.

Pani Gabrynia czuje się dobrze w tej ciszy.

Odkąd wyjechał pułkownik Pragniewicz, ustała jej męka, skończyły się te ustawiczne szykany, szarpiące nerwy, zatruwające każdą radość, męczące serce.

Wracają wspomnienia natrętne i niby muchy brzęczą w uszach i pamięci.

— — — — — —

— Jaśnie pan pułkownik, Jego wysokaurodzoność jakby go tytułowali w Rosji, grał całą noc w bridża u znajomych, w kasynie, lub u krewnych. Wraca o siódmej rano zły, bo przegrał prawie połowę gaży miesięcznej. Postękując, spluwając i wzdychając kładzie się spać, gdy inni wstają.

Do mieszkania państwa Gozdawów ktoś energicznie puka. Otwiera sam pan Gozdawa, bo służąca zajęta ubieraniem dzieci.

We drzwiach stoi żołnierz wyprostowany jak struna i uderzywszy obcasem o obcas w ukłonie wojskowym wymawia jednym tchem: — Melduję posłusznie, że pan pułkownik przykazali, by dzieci były cicho, bo bendom spać. —

Oleg hałaśliwie zamyka za nim drzwi. Jest blady i z trudem hamuje oburzenie.

Idzie do dziecinnego pokoju i woła Adaśka i Jolkę do siebie:

— Biegajcie naokoło mieszkania, tupcie mocno nóżkami.

I dzieci zdziwione, ale posłuszne biegają kilka razy naokoło po wszystkich pokojach i kurytarzu.

Gdy przystanęły wreszcie zmęczone pieści je chwilkę, poczem odsyła do dziecinnego pokoju.

Pani Gabrynia jest zdziwiona zachowaniem męża, ale nie pyta go o nic. Czuje, że jest czemś mocno poirytowany, mówi jej o tem bladość jego twarzy.

Dopiero przy śniadaniu Oleg opowiada jej o rozkazie dyrektora. I ją oburza również podobne zachowanie się Pragniewicza. Pułkownik mieszka na drugim piętrze, a oni na parterze. Gdyby dzieci były nawet z natury hałaśliwe, trudno wyobrazić sobie, by krzyki i wybuchy wesołości dwojga małych dzieci dochodził tak wyraźnie do mieszkania dyrektora poprzez środkowe mieszkanie i dwa sufity.

— — — — — — —

Niedziela, godzina 8.30 rano. Oleg zdejmując palto pociągnął za silnie za wieszak i wyrwał gwóźdź.

Nie namyślając się wziął młotek i umocnił na tem samem miejscu wypadnięty gwóźdź.

O dwa piętra wyżej dyrektor, wróciwszy niedawno z całonocnej pijatyki, zasypia. Głowa go boli i sen przychodzi z trudnością, aż tu nagle, tuż pod jego łóżkiem jakieś przytłumione, odległe ni to szmery, ni to stukanie wyrywają go z drzemki, w którą już zapadał.

Otwiera oczy, nadsłuchuje i upragniony sen odleciał.

Skąd te stukania? Z mieszkania kasjera Gilczyńskiego nie mogą pochodzić, bo porucznik bawi na urlopie i mieszkanie zamknięte na kłódkę.

— Napewno to u Gozdawy! U tej zmory jego życia, co to nie chciała się poddać pokornie jego woli, lecz próbowała się bronić, protestować.

Zadzwonił na ordynansa.

— Daj mi tu papier i ołówek z biurka.

I znów nieśmiałe pukanie do mieszkania na parterze.

Tym razem nie ustny rozkaz, ale list.

Zdziwiony Oleg rozerwał kopertę.

Na skrawku papieru nabazgrane ołówkiem:

— Proszę zaprzestać hałasów. Jeżeli pan nie nauczy się hamować swej dzikiej natury postaram się przenieść go na mieszkanie tam, gdzie jego swojskie maniery znajdą szeroki upust.

Pragniewicz, ppłk.
dyrektor.

Zbladł jak ściana. Ręka jego ścisnęła kurczowo zmięty kawałek papieru. Poszedł do żony, która ubierała się w sypialni i podał jej otrzymane przed chwilą pismo.

Zbladła i ona i kurcz bolesny chwycił ją za gardło.

— Ach, gdyby nie ten męczący brak mieszkań, gdyby można było stąd wynieść się do innego domu, zdala od zabudowań fabrycznych i od nienawistnej postaci brutala.

Gdyby! Ale na to trzeba było mieć pieniądze, by kupić sobie mieszkanie na mieście.

Dyrektor Pragniewicz miał ładne pięciopokojowe mieszkanie w mieście, gdy dostał się na stanowisko dyrektora, sprzedał je za duże pieniądze i przeniósł się do mieszkania fabrycznego.

— Tego nie daruję — wyharczał przez zaciśnięte zęby.

— Co zrobisz? — spytała zatroskana.

— Napiszę zażalenie do rady nadzorczej...

— — — — —

— I napisał, prosząc prezesa o wzięcie go w opiekę wobec brutalnych, ustawicznych napaści dyrektora Pragniewicza i jego rodziny.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale jak mówi japońskie przysłowie — „przyjaciel każdy ma swego przyjaciela", — więc dowiedział się ubocznie, że dyrektor Pragniewicz otrzymał naganę i że podobno swój list tłumaczył wielkiem zdenerwowaniem, wywołanem ciężką chorobą żony, u której hałasy, wydobywające się z mieszkania pana Gozdawy, wywołały pogorszenie jej stanu zdrowia!?

Pani Pragniewiczowa po ciężkiem porodzie, który przebyła 3 miesiące temu, czuła się doskonale i od dwuch miesięcy wychodziła lub wyjeżdżała codziennie na miasto, bywała na wieczorkach i w cukierniach.

— — — — —

Takie i tego rodzaju szykany były na porządku dziennym i nic dziwnego, że odetchnęła z ulgą, gdy pułkownika Pragniewicza odwołano do sztabu dywizji, a jego miejsce zajął pułkownik Sznelinski. I gdyby mogła zapomnąć o tamtem wszystkiem co przeszła, czułaby się zadowolona zupełnie z obecnych warunków.

* *
*

Pułkownikowa wydała u siebie przyjęcie, herbatkę tańczącą, czyli inaczej, jak chce moda, „dancing-bridge".

Między zaproszonymi znalazł się i Olgierd Gozdawa z żoną. Oboje pułkownikostwo przyszli ich zaprosić i zostali na herbacie.

Widać było, że pułkownikowi chodziło o nich i zależało mu na tem, by przyszli na imieniny jego żony.

I pułkownikowa wyjątkowo dnia tego siliła się na uprzejmość, próbowała nawet kokietować Olgierda.

— Czy pan dobrze tańczy? — pytała go, zapalając papierosa.

— Zdaje się, że tak — potwierdził — odpowiadając uśmiechem na jej zalotną minkę.

— Jakto dobrze, bo chcę byśmy potańczyli trochę, a Jasiek rusza się po posadzce jak niedźwiedź na rozpalonej blasze.

— No, znów nie aż tak źle — zaprotestował pułkownik.

— Może i nieźle, ale przyznaj się sam, że nagrodybyś nie otrzymał na popisie tanecznym.

— Jeżeli chodzi o nagrodę, to i ja nie śmiałbym się o nią ubiegać — zastrzegł się Olgierd.

— Ale i to dobrze, że pan taneczny!

— Możeby pani pułkownikowa Jareczka na noc przysłała do nas, gdyż nie będzie mógł spać, o ile pani chce urządzić tańce — zaproponowała pani Gabrynia.

Zesztywniała ruchliwa, roześmiana twarz pani Reny.

Odpowiedziała szybko: — Dziękuję pani, ale tę sprawę załatwiłam już z panią Protopow, Jareczka zaniesie się do niej z łóżeczkiem.

Swobodny nastrój prysł. Podnieśli się z miejsc goście. — Nie mogą dłużej zostać, bo muszą jeszcze wstąpić do kilku innych urzędników fabryki, by ich zaprosić również.

Gdy się żegnali pułkownik popatrzył proszący w oczy pani Gabryni.

— Państwo nie zrobią nam zawodu...

— Naturalnie — odpowiedziała z odrobiną zdziwienia w oczach.

— Zaszczyt po naszej stronie — dodała.

* *
*

We czwartek dwudziestego października w dniu imienin pułkownikowej od rana snuli się ordynansi lub posłańcy z koszami kwiatów. Najpiękniejszy z róż „Marie Louise" ukrywał bilecik, a w nim — Reniuśce — od męża.

Przynieśli go, gdy jeszcze spała.

Trochę później wnieśli ogromny kosz upleciony cały z lewkonji, wśród których złociło się 12 filiżaneczek do czarnej kawy, wyrobu bawarskiego, słynnego „Rosenthala" — dar urzędników-kawalerów z fabryki. Co chwilę brzęczał dzwonek, i wnoszono kwiaty lub paczki. Chryzantemy, lewkonje, róże, mieczyki, a dalej poduszki haftowane, serwetki, makatki od pań pułkowych.

Pułkownikowa była uszczęśliwiona, zaledwie dopiero dwa miesiące jak przyjechała do fabryki, a już tyle otrzymała dowodów sympatji.

Od piątej zaczęli schodzić się goście. Jedni z ostatnich przyszli Olgierdowie Gozdawa.

Czekano na ich przyjście z napięciem. Jak się przywitają, jak się będzie zachowywał pułkownik?

Tymczasem spotkał ich zawód.

Pułkownikowa, ujęta tylu prezentami, rozradowana, zadowolona powitała panią Gabrynię z wielką serdecznością, usadowiła w kąciku na fotelu, przed którym w niskiej kryształowej wazie czerwieniły się róże wszystkiemi odcieniami barw i gatunków.

Przysiadła się do niej i pani Protopow, i pani Lula Kowalska i porucznikowa Kulczyńska, pułkownikowa Zawojka i prześliczna majorowa sztabu dywizji. Przyłączyło się do nich kilku panów z fabryki, no i zakwitł flirt salonowy „przelewanie pustego w próżne" jak taki flirt określił jeden z dawniejszych pisarzy, nazywając go jednocześnie „lizaniem cukierka przez szybę".

Inna rzecz, że takie „przelewanie", czy „lizanie" na dłuższą metę, kończyło się często czemś poważniejszem, nabierało znaczenia, doprowadzało do tragedji, ale tu, w tym trochę jaskrawym saloniku był on zupełnie niewinnem zabijaniem czasu. Coraz ktoś nowy wchodził, witał się, dołączał do zabawy. Przybywało par do tańca, a partnerów do bridża. Narazie próbowano torty swojej i cukierniczej roboty, pito wino krajowe i zagraniczne gronowe.

W pewnym momencie szef sztabu stanął na środku salonu z kieliszkiem wina.

— Panowie i panie, zdrowie solenizantki! — krzyknął, podnosząc kieliszek w górę.

Wszyscy powstali z miejsca i z kieliszkami cisnęli się do pani domu. — Zabrzmiało chóralnie: sto lat... sto lat...

Zbliżyła się również i pani Gabrynia.

I nagle, wszystkim, prawie bez wyjątku, przypominała scena, która miała tu miejsce trzy lata temu.

— — — — —

Pułkownik Garczyński, po przeniesieniu go do innego pułku, nie mógł przez przeszło rok znaleźć mieszkania i pułkownikowa mieszkała dalej w bloku familijnym, tem więcej, że pułkownik Pragniewicz miał wówczas jeszcze mieszkanie prywatne w mieście, bardzo tanie i wygodne.

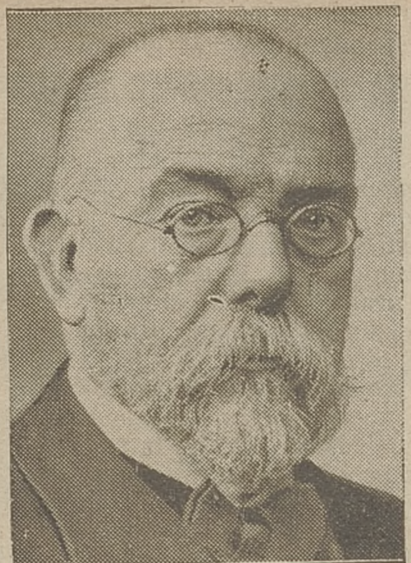
Przed wyjazdem urządziła pożegnalną kolację, na którą zaprosiła cały personel urzędniczy fabryki oraz państwo Gozdawów.

Było to już po zatargu pomiędzy pułkownikiem Pragniewiczem a Olgierdem i pani Gabrynia odgrażała się, że gdyby spotkała kiedy w towarzystwie pułkownika Pragniewicza, nie podałaby mu ręki, gdyż uważa go za bardzo podłego człowieka. Naturalnie, że powtórzono mu to. Miał lekceważąco wzruszyć ramionami i odezwać się z przechwałką:

— Już ja potrafiłbym ją zmusić do przywitania się ze mną!

Jak i teraz tak i wówczas salon był pełen gości. Cały personel urzędniczy stawił się w komplecie. Brakowało tylko pułkownikostwa Pragniewiczów. Pani Gabrynia siedziała w kąciku, w tym samym kąciku, otoczona paniami. Na stoliczku pod palmą umieściła filiżankę z herbatą.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)



W dniu 27 maja minęło 25 lat od skonu sławnego bakterjologa Roberta Kocha. Odkrył on zarazka gruźliczego, a także zarazka cholery. W 1905 r. otrzymał nagrodę Nobla. Był on swego czasu lekarzem powiatowym w Wolsztynie (na zachodzie Wielkopolski).

EMIL GABORIAU

Ajent policyjny

17)

Lekok uderzył się w piersi.

— Oto jaki ze mnie głupiec — powiedział sobie — jestem niedołęga i idjota. Należało jedynie zanotować sobie w pamięci, iż ten człowiek miał, w chwili zaaresztowania, nogi umazane błotem, lecz podnieść ten fakt tutaj w czasie indagacji dopiero. Natomiast zeskrobywanie błota ze stóp obwinionego rozbudziło jego czujność i podsunęło sposób przygotowania sobie obrony. A teraz jego tłumaczeniu nic nie można zarzucić. Niema co mówić!... jestem pobity na tym punkcie!

Pan Segmuller to samo w duchu przyznawał. Lecz nie ujawniał zdziwienia, ani też nie zachwiał się wobec obrony tak zręcznej.

— Twierdzisz więc uporczywie, że mówisz samą prawdę tylko — znów rozpoczął atak — a więc ja ci udowodnię, że ty i kłamać potrafisz.

Wargi obwinionego zadrgały.

— Bodajbym się pierwszym kęsem udławił chleba, jeżeli choć jedno fałszywe słowo znalazło się w mych zeznaniach.

— Choć jedno?... Poczekajże!

Po groźbie tej, sędzia wyjął z szuflady odlewy gipsowe, przez Lekoka porobione i pokazał je mordercy.

— Zeznałeś, iż kobiety, o których już rozmawialiśmy, miały postawy grenadjerów... A oto patrz, jak drobne były ich stopy. Mówiłeś dalej, iż były czarne jak djablice... my tymczasem mamy świadka ,najzupełniej wiarogodnego, że jedna z nich przynajmniej była jasnowłosa, zgrabna, wytworna i o głosie brzmiącym jak muzyka. Świadkiem tym zaś jest doróżkarz, który zabrał panie te z ulicy Chevaleret i zawiózł do centrum miasta.

Te słowa okazały się dla oskarżonego dopiero ciosem, ciosem potężnym i mocnym. Zbladł, zachwiał się i był zmuszony oprzeć się o stojące w pobliżu krzesło, ażeby nie upaść.

— Taka jest twoja „prawda!" — mówił dalej, po krótkiej przerwie, zabójczo chłodnym tonem sędzia — A któż to jest ten twój wspólnik, który oczekiwał na ciebie, a może i na kobiety owe, w pobliżu, gdy ty byłeś w „Pieprzniczce?" Któż on jest?... ten człowiek dzielny niezaprzeczenie, który gdy ciebie już wyprowadzono z szynku, śmiało przedarł się na miejsce zbrodni, aby usunąć jakiś dokument fatalny, któryby zdołał zapewne rozjaśnić całą tajemnicę a który znajdował się w fartuchu właścicielki szynkowni. Ten sam człowiek następnie, udając pijanego, dostał się do aresztu, z tym celem, ażeby się porozumieć z tobą, a następnie z wdową Szupe, co do zgodności zeznań i sposobu obrony? Bo przecież nie zaprzeczysz, iż właścicielka szynkowni działa w porozumieniu z tobą?

Więzień wskutek nadludzkich wysilków, był już jednak panem siebie.

— Wszystko to, co mi pan powiedział teraz — ochrypłym zawołał głosem — jest wymysłem policji i niczem więcej.

— Więc ważysz się przeczyć faktom najbardziej choćby oczywistym?

— Jakim faktom? — odpowiedział morderca, marszcząc groźnie brwi. — Że ta cała historyjka ma pewne cechy prawdopodobieństwa, nie mam zamiaru przeczyć bynajmniej. Jest jednak i niestety bardzo od prawdy daleka. Mówiłeś mi pan naprzykład o jakimś doróżkarzu, który nocy owej zawiózł, z ulicy Chevaleret do środka miasta, dwie drobne, jasnowłose kobiety. Doskonale... Któż twierdzić się jednak odważy, iż to były te same kobiety, które się znajdowały poprzednio w owym szynku nieszczęsnym?

— Policja, która szła ich śladami.

— Co?... policja kroczyć miała za śladami tych kobiet wzdłuż całych ulic i to podczas deszczu i odwilży?! Nie, to już trochę zanadto!

Wyciągnął rękę w stronę Lekoka i rzekł tonem druzgocącej pogardy:

— Trzeba mieć w sobie bezmierne pragnienie awansu, nie cofające się przed niczem, ażeby na zasadzie takich dowodów domagać się śmierci człowieka.

Zarzut ten wstrząsnął Lekokiem do głębin serca. Strzał był celny; to też młody ajent, zapominając o tem, gdzie się znajduje, porwał się jak szalony.

— Nie jest to dowód jeszcze — zawołał trzęsąc się cały — lecz jedno ogniwo łańcucha. A już ja połączę je w całość.

— Proszę o milczenie, panie ajencie — surowo zawołał sędzia, a odwracając się do więźnia ciągnął dalej:

— Sprawiedliwość dopiero wtedy korzysta z danych, których jej dostarczy policja, gdy je uprzednio sprawdzi.

— Pragnę w to wierzyć — odpowiedział obwiniony — miałbym jednak ogromną ochotę tego doróżkarza zobaczyć. Zapytałbym się wtedy, jakim cudem widzi on twarze ludzkie, gdy na dworze jest mroczno i ciemno, jak w kominie.

— Lecz po cóż ja się unoszę — zawołał zwracając się do sędziego — i żółć ulewam sobie, o tych kobietach mówiąc, gdy pan wie już doskonale, co to są za dzierlatki. Ów doróżkarz odwiózł je przecież do domu, pan sędzia nie omieszkał przeto zapewne już się zapoznać z niemi!

Aczkolwiek obwiniony był aktorem pierwszorzędnym, w jego głosie przebił się jednak nieco zbyt już wyraźnie ton triumfującej ironji. Wiedzieć musiał, iż kobiety owe pozostały nieznane.

— To już do mnie należy! — odparował cios szyderczy sędzia głosem matowym. Istnieniu wspólnika, czy może towarzysza, przeczysz również zapewne?

— A na cóż się zda zaprzeczać? — gdy i tak pan nie twierzysz niczemu co mówię! Nawet o mym panu, Simpsonie, powiedziałeś przecież, iż jestto osoba urojona! Cóż tu więc o „wspólniku" mym mówić! Panowie ajenci twierdzić się poważają, iż ów wspólnik naprzód porozumiał się ze mną, a następnie i z ową szynkarką również. No... ze mną!... są jeszcze, na umotywowanie tezy tej, pozory jakieś przynajmniej. Ten pijaczyna leżał w mej celi bądź co bądź... Ale i z szynkarką?... Czyżby go następnie z tą kobietą zamknęli?

Kancelista Goget przestał aż pisać, w niemym podziwie.

— Otóż to ptaszek! — myślał sobie — nie będzie on potrzebował adwokata, gdy stanie przed sądem!

— Cóż jeszcze więcej — mówił dalej więzień głosem podniecönym — ukuli przeciwko mnie panowie ajenci?... Acha, prawda, mają jeszcze w zapasie jakiegoś Lacheneura, nazwisko wybełkotane przez człowieka, znajdującego się już w stanie agonji. No i owe „ślady" na śniegu topniejącym, i jeszcze... cóż tam jeszcze?... acha!... jeszcze i zeznania nocnego doróżkarza!...

— I to mają być fakty?... dowody „druzgocące" mych win niewiadomych? Ależ to jest nic! Jedno wielkie nic!

— Przestań!... zawołał p. Segmuller głosem spokojnym do zdumienia. — Pewność twa jest bardzo wielka, lecz niemniej wielką była również i twa trwoga przed chwilą. Z czego się w tobie ona narodziła?

— Z czego? — zawołał więzień tonem oszalałym. — Z czego?... czyż nie zdajesz sobie z tego, panie, sprawy, że mnie męczysz straszliwie, na krzyżu cierpień rozpinasz na zimno?! Od paru godzin stoję tu przed tobą, jakbym już głowę pod nożem gilotyny trzymał, w lęku bezmiernym, iż za jedno nieostrożne słowo ten nóż spadnie na szyję moją, a ty się dziwisz, iż śmiertelnym potem oblewa się czoło moje! Oh!... nie życzyłbym męczarni podobnej najgorszemu wrogowi memu.

— Nie jestem twym wrogiem -- rzekł łagodnie pan Segmuller, który słowa te wziął do siebie. — Zechciej wziąć jednak to pod uwagę, iż jestem sługą prawa, postawiony tutaj na to, ażeby sprawiedliwości stało się zadość, ażeby prawda ujawniona została. Otóż tutaj wie i... wiedzieć to będę!

— Ale przecież ja tracę resztę sił, by przekonać pana, że się Maj nazywam.

— Nie. Ty nim nie jesteś. Nie jesteś klownem cyrkowym napewno!

— Kim jestem w takim razie? Może jakim wielkim panem, w nędzne ubranie dla zapust przebranym?... Pragnąłbym tego bardzo. Miałbym wtedy metrykę i sprawa byłaby załatwiona. Za chwilę



Robert Schumann, słynny kompozytor, którego 125 rocznicę urodzin obchodził świat muzyczny 8 czerwca.



Ciągnienie loterji w Irlandji należy nawet do uroczystości narodowych. Na zdjęciu grupa pięknie przybranych dziewcząt, które niosą w pochodzie przez miasto urny do gmachu loterji.

byłbym wolnym, boć przecie obrona własnego życia nie może być za zbrodnię uważana! I jestem pewien, że i pan, w gruncie rzeczy, za niewinnego mnie uważasz.

Pan Segmuller oddalił się od biurka i stanął przy kominku, o jego kolumny się opierając, o parę kroków od mordercy zaledwie.

— Dajmy temu pokój — powiedział.

I natychmiast, zmieniając odrazu ton i postawę, dodał z wytworną uprzejmością światowego człowieka, zwracającego się do równego sobie:

— Zechciej mi zrobić ten zaszczyt, panie, i wierzaj, iż posiadam na to dość przenikliwości, by odgadnąć, iż pod tem ubogiem odzieniem i pod tą maską klowna, w jakie się przyoblekłeś, kryje się człowiek wyższy, obdarzony przytem wyjątkowemi zdolnościami.

Lekok zauważył wtedy nie bez zdziwienia, że ta nagła zmiana w zachowywaniu się sędziego zbiła z tropu mordercę.

Usiłował roześmiać się, roześmiać głupio, głośno i ordynarnie, lecz krtań odmówiła mu posłuszeństwa i z gardła wydarł się jakby głuchy szloch, siłą zdławiony.

— Nie będę pana męczył dłużej — mówił dalej sędzia — i z tego względu również, iż na polu szermierki słownej nie zdołam nigdy dorównać panu, co przyznaję z całą skromnością. Zawezmę przeto pana do badania wtedy dopiero, gdy rozporządzać będę całą masą dowodów niezbitych, którymi pana zgniotę.

Zamyślił się głęboko, a następnie, powoli ważąc każde słowo, mówić zaczął:

— Tylko nie spodziewaj się pan wtedy odemnie jakichkolwiek względów, jakie miałbym w tej chwili może. Sprawiedliwość ludzka jest pobłażliwa dla niektórych zbrodni, dla takich zwłaszcza, które z czystych wypływają pobudek i popełnione zostają w chwili uniesienia. I myślę, iż tak właśnie może jest z panem. Możeby pan więc zechciał porozmawiać ze mną szczerze?... Mam kazać wyjść ajentowi temu?... gotów jestem oddalić nawet sekretarza mego?...

Na tem pan Segmuller urwał. Czekał na skutek, jaki sprawi na obwinionym wezwanie podobnego rodzaju.

Morderca utkwił w nim jedno z tych spojrzeń, jakiemi można czasami do głębi duszy przeniknąć. Wargi jego się poruszały, nie wydając zresztą głosu. Zdawało się, że przemówi... Lecz nie. Twarz mu stężała, po gwałtownym skurczu, a następnie przemówił głosem suchym i bezbarwnym:

— Jesteś pan uczciwym człowiekiem. Na nieszczęście, ja nie mogę panu powiedzieć nic więcej, jak to co już powiedziałem. Jestem prostym sobie człowiekiem, cyrkowym klownem i niczem więcej.

— Niech się więc stanie według twej woli, panie — powiedział sędzia ze smutkiem — sekretarz odczyta ci protokuł twego zeznania.

Goget zaczął czytać natychmiast; oskarżony słuchał bardzo uważnie, nie czyniąc żadnych uwag, lecz w końcu nie zgodził się na położenie swego podepisu, ze względu: „żeby nie było w tem jakiegoś oszukaństwa“ jak mówił.

W chwilę zaś potem strażnicy odprowadzili go z powrotem do więzienia.

XXII.

Po wyjściu oskarżonego, pan Segmuller padł na fotel, wycieńczony, rozbity, zmordowany, co jest zwykłem następstwem wyjątkowo wielkich wysiłków, nie uwieńczonych zwłaszcza powodzeniem.

Po tym nazbyt wielkim wysiłku, spadło na niego teraz bezmierne znużenie.

Miał tyle zaledwie siły, ażeby zwilżyć chustkę w świeżej wodzie i nią ochłodzić spalone czoło i wargi.

Ta straszna walka pomiędzy sędzią, a oskarżonym trwała siedem długich godzin.

Nawet wiecznie uśmiechnięty kancelista, dla którego każda indagacja była mniej lub więcej zajmującym dramatem; od rozgrywanych na deskach teatralnych ciekawszym nierzadko, tym ostatnim był znużony. Zbyt wiele było dobrego. To też gdy oskarżony wyszedł wreszcie, podniósł się z zadowoleniem, by wyprostować nogi, a następnie się odezwał:

— A to łotr dopiero!... daremnie wyczekując, ażeby sędzia lub ajent potwierdzili to jego mniemanie.

Pan Segmuller dawał posłuch zazwyczaj ocenom starego kancelisty, ufając jego doświadczeniu, w omawianym wypadku wszelako nie mógł się zgodzić z jego zdaniem.

— Nie — rzekł zamyślony — nie, łotrem nie jest ten człowiek napewno. Gdy łagodnemi odezwałem się do niego słowy, dojrzałem w jego oczach silne wzruszenie. I przysiągłbym na to, iż była chwila, iż chciał już ze wszystkiego się wyspowiadać.

— Tak — potwierdził Lekok — jest to niezwykle potężna indywidualność, dużej siły.

Ta pochwała w ustach młodego ajenta była zupełnie szczera. Mimo to, iż więzień pokrzyżował jego plany, drwił sobie wprost z niego, a nawet go obraził, nie miał doń żadnego żalu, owszem — podziwiał jego dzielność, zręczność i moc ducha.

Przygotowywał się do stoczenia zaciętej z nim walki i miał nadzieję, że odniesie zwycięstwo, nie przeszkadzało to temu jednak, iż uczuwał dla swego więźnia niezrozumiałą jakąś sympatję, jaką budzi zawsze przeciwnik dostojny.

Powoli i pan Segmuller zaczął przychodzić do siebie.

— Czy wiesz, panie ajencie — powiedział — do jakiego ja doszedłem wniosku? Do takiego, iż człowiek ten albo jest istotnie Majem i cyrkowym klownem, albo też należy do najwyższych warstw społeczeństwa. Bo tylko na najwyższych lub najniższych szczeblach towarzyskich spotkać się można z podobną odwagą, determinacją i zręcznością. Jednostka przeciętna, taki sobie mieszczanin zwykły, gdyby został zaplątany w aferę podobną, oddawna wyśpiewałby nam wszystko i na kolanach błagał miłosierdzia.

— Ależ panie, ja głowę jestem gotów dać za to, iż człowiek ten nie jest Majem — zawołał Lekok z głęboką wiarą w głosie.

— I ja jestem tego samego przekonania. Lecz jak to udowodnić?

Lekok zapadł wtedy w głębokie zamyślenie.

— Panie — rzekł po chwili — przyszła mi do głowy myśl.

— Jakaż?...

— Wdowa Szupe, jak pan zapewne to sobie przypomina, mówiła nam o swym synie, Policie. Łotrzyk ten siedzi w obecnej chwili w więzieniu, za jakieś, niewielkiej zresztą wagi, przestępstwo. Otóż czy nie byłoby może warto go zbadać? Znać on musi wszystkich stałych gości „Pieprzniczki“ niewątpliwie. Kto wie, czy nie mógłby on nam dać cennych szczegółów nietylko o Gustawie i o Lacheneurze, ale i o samym mordercy nawet? (C. d. n.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

SEN O SZCZĘŚCIU

Śmiejcie się ze mnie, że ja w szczęście wierzę.
I ja się kiedyś z innych w duszy śmiałam.
Dziś wiem, że nikt mi szczęścia nie zabierze —
Jasna, promienna przyszłość mi została.

Śmiejcie się głośno — śmiejcie się jak chcecie.
— A dla mnie złota gwiazda szczęścia wstaje.
Wiem — że wy tego pojąć nie umiecie —
Szczęście swe dary bezwiednie rozdaje.

Kiedy pić będę szczęście z złotej czary,
Wysnuję dla was pieśń z wspomnień tysiąca..
Pieśń, która stara jest — jak świat ten stary —
A zawsze nowa — cudna — pełna słońca.

Śmiejcie się, śmiejcie z moich dni przyszłości.
— Mówię, że życie to piekło boleści,
Że tu wśród szarej życia codzienności
Ów sen o szczęściu duszy nie upieści.

„Jadźka z Kujaw."

ODWZAJEMNIAM

„Złoteńko." Dziwię się, że takiej słodkiej i kochanej istotce, jaką jest Pani, może być smutno i to w dodatku tak „strasznie" smutno. Najdroższa! rozpogódź czoło, zapomnij o smutku! Przyjdzie Ci to łatwo, gdyż zawód Twój jest taki szlachetny i wzniosły, już sama myśl, że przynosisz komuś radość i ulgę w cierpieniu, niech Ci będzie osłodą życia. Pamiętaj, że do ludzi trzeba zawsze podchodzić z pogodną i jasną twarzą, chcąc zdobyć ich sympatję; smutek, chociaż szlachetny, znajduje bardzo mało uznania. Zresztą Pani o tem wie najlepiej, prawda?

Załączoną pocztówkę wysłałam. Domysły Pani są rzeczywiście trafne!

Na zakończenie odpowiedzi dziękuję za fotografję i całusy, które odwzajemniam jak najwierniej.

DZIĘKUJĘ ZA ŻYCZENIA

„Lalita." Nieznana mi bliżej Przyjaciółeczko! Proszę, przyjmij odemnie gorące podziękowania za życzenia imieninowe. Były one dla mnie przyjemną i bardzo miłą niespodzianką. Czy nie zechciałaby Pani do mnie napisać dłuższego listu?

KTO NAPISZE?

„Opuszczona Owieczka." Jak widzę z liściku jest Pani bardzo pesymistycznie nastrojona i zrezygnowana. Zdaje się Pani nie wierzyć w szczęście, w dobroć ludzi i sprawiedliwość. Proszę, niech Pani nigdy nie wątpi! Tak samo, jak dużo jest zła na świecie, tak samo i dużo dobra. Cieszyłabym się ogromnie, gdyby Pani potwierdziła kiedyś moje wywody.

A teraz zostawmy na boku smutki i żale i pomówmy o czemś pogodniejszem. A więc najpierw o fotografji: niezmiernie będę uradowana, gdy prześle mi Pani swój portrecik. Ciekawa jestem, jak wygląda ta smutna, a jak wnioskuję z Jej długiego listu, dobra i miła osóbka?

Chciałaby Pani korespondować? Pewną jestem, że ktoś z Czytelników napisze do Pani. A może ktoś z Pań i Panów, którym „Opuszczona Owieczka" przesyła pozdrowienia? — np. „Nieszczęśliwa" — „Idealne Serce" — „Blondyn z Pomorza" — „Złoty Promyk" — „August" — „Micke-Mouse" — „Ikar II" — „Orkan" — „Sympatyczny Przyjaciel" — „Regres z pogranicza" lub „Romantyk XX-go wieku"?

MOŻE NAPISZE?

„Stęsknione Serduszko." Niepotrzebnie obawiała się Pani do mnie napisać. Do „Krainy" ma przecież wolny wstęp każdy Czytelnik i Czytelniczka „Moich Powieści."

Jak widzę z listu, odczuwa Pani brak towarzystwa. Od chwili kiedy Pani do nas należy, samotność została przekreślona raz na zawsze. Posiada Pani teraz dużo przyjaciół, do których może w wolnych chwilach pisać.

A może napisze do „Stęsknionego Serduszka" „Podoficer", skoro się dowie, że Pani tak lubi szare mundury?

CZY DŁUGO?

„Maryna." Jeżeli się Pani zdaje, że „Kalina" zbyt jednostronnie wyraziła się w swoim liście w nr. 41, to jednak nie dowodzi to jeszcze, by nie uznawała korespondencji między ludźmi niewykształconymi. O ile mi wiadomo, sama koresponduje z Sympatyczkami, które prócz szkoły powszechnej na wsi, nie mają innych szkół poza sobą i jest z tego bardzo zadowolona. Możeby Panią, jeżeli chęć i ochota po temu, skomunikowała się z Nią również? Radzę Pani!

Przypuszczenia Pani, co do mojej osoby, są mylne. Musi p. Marysieńka jeszcze długo łamać sobie główkę, zanim rozwiąże tę zawiłą i trudną do odgadnięcia zagadkę.

Czy będę długo czekała na następny liścik?

WARTOŚCIOWA KORESPONDENCJA

„Świątynia Dumania." „Wierszyk" załączony do listu, może jedynie dla Pani mieć jakieś znaczenie, gdyż literackiej wartości nie przedstawia żadnej.

Niektóre wywody w liście Pani bardzo mi się podobają. Gdyby tak umiała myśleć każda kobieta, miałaby więcej w życiu zadowolenia. Ci, którzy nawiążą z Panią korespondencję, znajdą dużo prawdziwej satysfakcji w wspólnej wymianie zdań.

WYSŁAŁAM

„Jagódka." List wysłałam. Podziękowanie za pozdrowienia „Ikarowi II" i odwzajemnienie ich z miłą chęcią przekazuję.

ZA ŻYCZENIA DZIĘKUJĘ

„Nenufar." Za przesłane życzenia gorąco dziękuję. Załączony list przesłałam i przekazuję w imieniu Pani pozdrowienia dla „Janka." Łączę serdeczne pozdrowienia.

BALLADA

Pamiętasz jeden wieczór, już wiosenną porą
W mym pokoju malutkim mówiłam ci bajkę..
Zmrok wpełzał cicho w okno zasłonięte storą,
Wypaliliśmy wtedy wiecznej zgody fajkę.

Siedzieliśmy cichutko, tak, jak dzieci grzeczne,
Na błękitnym tapczanie, pod portretem moim,
Czekając na natchnienie, kiedy przyjdzie wreszcie,
Wyczaruje baśń złotą, zachwyci, ukoi.

Chciałam ci opowiedzieć przedziwną balladę,
Fantastyczną, naiwną, szaloną i rzewną.
Byś miał śnić o czemś w noce ciemne, łzawe,
Gdy będziesz kędyś w dali, wśród obcych, nie ze mną.

Chciałam ci mówić wtedy o morzu dalekiem,
Rozkołysanem w pianach, jak śniegi srebrzystych,
Które się rozbijają o brzeg z głuchym echem,
I wracają znużone do głębin wieczystych.

Wśród tych wód oceanu, gdzieś na horyzoncie,
Są wyspy koralowe nikomu nieznane,
Kędy się wieczorami do snu kładzie słońce,
Na uwite z paproci i kwiatów posłanie.

Gdzie w noce księżycowe upalne i ciche
Na wybrzeżach skalistych dobroczynne Bogi,
Wsłuchane w fal szumiących cudowną muzykę,
Strzegą okrętów, które zgubiły swe drogi,
dążąc na małą wyspę gdzieś hen w Oceanji.

Naturska M.

WESOŁA KORESPONDENCJA

„Wandzia — podlotek", to bardzo wesoła brunetka. Pisze w wolnych chwilach wierszyki i pragnie nawiązać korespondencję z kimś również wesołym. A więc wszyscy pogodni i radośni Sympatycy nie czekajcie długo i piszcie do „Wandzi."

PIERWSZE ŻYCZENIE SPEŁNIONE

„Wesoła Wandzia". Prosi Pani o przyjęcie do „Krainy" i wyraża chęć nawiązania korespondencji z czytelnikami „Moich Powieści"... Pierwsze życzenie Pani spełniłam, drugiemu zadość uczynią niewątpliwie Sympatycy „Krainy."

LIŚCIK NADSZEDŁ

„Tęsknota." Bardzo się ucieszyłam, otrzymawszy adres Pani, bo przynajmniej mogłam list wysłać. Straciła już Pani nadzieję, że ktoś do Pani napisze, a tymczasem . . . nadszedł liścik. Dowód, że nie należy nigdy powątpiewać w możliwe rzeczy. A teraz maleńkie zapytanie: czy listy sprawiły zadowolenie?

CIESZYŁABYM SIĘ

„Samotna Klaruta". pisze: „Jestem obecnie od niedawna mieszkanką wsi położonej niedaleko sinych wód Wisły. Żyję tu samotna, jak sierotka, bo nią jestem w rzeczywistości; nie mam tu żadnej istoty, z którą mogłabym się podzielić radością lub smutkiem . . ."

Powyższe słowa zapewnie niejednego natchną do napisania serdecznego listu do Ciebie, „Samotna Klaruniu!" Kto wie, czy nie skreśli również kilka słów „Podchorążak", zwłaszcza, gdy się dowie, że się nim interesujesz. Cieszyłabym się bardzo.

A teraz zamieszczam jeszcze raz krótki wyjątek z Twego liściku:

„Pomorzance z nad Wisły" zasyłam milutkie pozdrowienia i wiadomość, że powodzi mi się dobrze. Koleżance mej, „Wesołej Andziulce" życzę powodzenia i łączę moc uścisków.

ROZUMIEM PANA

„Pilot." Ze zrozumiałych powodów nie mogę podawać apelu Pana na łamach „Krainy" gdyż zmieniłoby to jej charakter. Najlepiej niech Pan zdecyduje się podać w „Moich Powieściach" drobne ogłoszenie. Dajemy już od 50 gr. Należność można przesłać w znaczkach.

Dolę Pana rozumiem najzupełniej i współczuję Mu szczerze. Przykra to rzecz, chcieć pracować, a nie móc, bardzo przykra. Głód pracy zabija w człowieku pogodę i energję życiową i przygnębia nawet najdzielniejszego człowieka. Jednak trzeba bronić się przed rozpaczą, mieć zawsze tę nadzieję, jeżeli jest się zdrowym i zdolnym do pracy, że kiedyś znajdzie się zajęcie, skończy się męka i daremne oczekiwanie. Wprawdzie dzisiaj czasy są ciężkie i położenie krytyczne, jednak jeszcze dużo ludzi otrzymuje posady.

Niech więc i Pan poczyni wszelkie starania o jakiekolwiek zajęcie, któreby Panu odpowiadało. Najlepiej spróbować podać ogłoszenie do gazet, śledzić pilnie w czasopismach, rubryki pt.: „wolne posady" i jeśli coś będzie stosownego, wysłać natychmiast ogłoszenie do danej firmy wraz z odpisami świadectw szkolnych i odbytej praktyki zawodu, dalej pisać wnioski o posadę do firm, urzędów lub prywatnych instytucji. Oto moja rada na początek.

Pragnie Pan nawiązać z kimś korespondencję, apeluję więc do Czytelników, by pogodnemi, serdecznemi słowami umilili Panu smutne życie.

KAŻDY LIST CZYTAM Z ZAINTERESOWANIEM

„Ogrodnik." W sprawie, w której się Pan informuje w liście, odpowiem krótko, zgodnie z życzeniem — nie! Jeżeliby Pan postąpił odwrotnie, mogłaby dana osoba szczery odruch Pana pojąć błędnie i się obrazić. Pozatem radzę Panu, jeżeli nie otrzymał Pan odpowiedzi na list, spróbować z kimś innym nawiązać korespondencję. Od Pana przecież tylko zależy, aby znaleźć kogoś, ktoby Pana zrozumiał i przez szczerą wymianę myśli przyniósł swego rodzaju rozrywkę.

Proszę, niech się Pan nigdy nie krępuje, pisząc do mnie, gdyż zawsze każdy list czytam z zainteresowaniem. Serdecznie Pana pozdrawiam!

NIE POZWOLI

„Zamyślona." Bardzo żałowałam, że liścik bardzo krótki, chętnie przeczytałabym dłuższy. Następnym razem sprawi mi Pani przyjemność i napisze więcej, prawda?

Życzenie Pani spełniam jak najchętniej i apeluję do „Wacusiewicza," by zechciał wytłumaczyć Pani swoje milczenie! Sądzę, że Pan „Wacusiewicz" nie pozwoli długo czekać „Zamyślonej" na odpowiedź?

ODEJDZIE WIOSNA

Za szarem miastem, tam w szczerem polu,
Roztacza wiosna jeszcze urocza,
Bogactwo kwiecia i pękiem jaskrów
Zagląda w wód błękitnych przezrocza.
Jeszcze w ogrodach błądzi z uśmiechem,
Czasem poduma dziwnie zgaszona,
Nad okwitniętych bzów starym krzakiem,
Albo w jaśminach stanie wtulona.
To już ostatnich triumfów droga —
Już niezadługo, za dzień, za kilka,
Odejdzie wiosna z nad pól, ruczaju
I jak radości zagaśnie chwilka.
I zapomniana ta fawurytka
Tylu zachwytów, tylu uniesień,
Samotna zgaśnie pośród bezdroża
I w dal nieznaną swój żal poniesie...
— — — —
Tylko fujarka kędyś pastusza,
Po niej zapłacze cicho nieboża.

„Kalina.“

ODPOWIEDŹ NA KAŻDY LIŚCIK

„Fata morgana.“ Ucieszyłam się listem Pana temwięcej, że pomimo tak intensywnej pracy znalazł Pan wolną chwilkę na napisanie listu do mnie. Sama często nie mogę w toku gorączkowej pracy, znaleźć dla siebie godzinkę czasu na załatwienie osobistej korespondencji, więc najzupełniej Pana zrozumiem. A zresztą, zawdzięczając mojemu obecnemu zajęciu, mogę powiedzieć o - sobie: „nihil humani a me alienum puto.“

A teraz pozdrawiam w imieniu Pana „Kapryśną Rutę“ — „Rok 1935“ — „Słodką Lili“, oraz łączę uznanie za wierszyki dla „Smutnej Perełki“ i „Białej Uajali.“

Jeżeli która z Pań zechce napisać do „Fata morgany,“ nie zawiedzie się, gdyż przyrzeka odpowiedzieć na każdy liścik.

ROZBROIŁ MNIE PAN

„Zapomniany.“ Rozbroił mnie Pan swoim úniewinnieniem, przyjęłam je jednak za „najlepszą monetę.“

Za serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni — dziękuję. Łączę wyrazy sympatji i także pozdrowienia.

POZDROWIENIA DLA „NY - CZARA“

„Gwiazda Rodziny.“ Niestety, muszę Pani zrobić przykrość: wierszyk nie jest zupełnie dobry. Najlepsza jest druga zwrotka — bo najprościej wyraziła Pani to, co czuła, pisząc. Trzeba unikać takich „rannych“ określeń, jak „niebo duszy“ etc. Trzecia zwrotka również dobra, tylko myśl nie dokończona. A więc — niech jeszcze więcej pracuje Pani nad sobą, niech czyta Pani uważnie poezje naszych wieszczów i poetów, przyrównując ich poezje, sposób określania tych samych stanów duszy, podejście do tematu, rozwinięcie go etc. Nie weźmie mi Pani za złe tych uwag, prawda? Życzliwe są.

Za życzenia serdecznie Pani dziękuję. Polecenie Pani chętnie spełniam: w imieniu Pani pozdrawiam mile „Ny - Czara“, który w odpowiedzi na to, napisze z pewnością do „Gwiazdy Rodziny“? Grzeczność obowiązuje!

PODZIĘKOWANIE

„Perełka z okolicy Borów Tucholskich.“ Milutki, choć krótki liścik Pani otrzymałam. Tym razem odezwała się Pani wcześniej niż zwykle, cieszyłabym się bardzo, gdyby tak było zawsze. Za przesłane mi życzenia — ślicznie dziękuję, oraz przesyłam w imieniu Pani „Pomorzaninowi wśród lasów“ podziękowanie za przesłane pozdrowienia.

WZRUSZYŁO MNIE BARDZO

„Samotna duszyczka B.“ To ogromne przywiązanie Pani do „Moich Powieści“ wzruszyło mnie bardzo. Dziękuję gorąco za słowa uznania!

Załączone przez Panią pozdrowienia dla „Ideał Romantyka“ i „Miłego Bernarda“ przekazuję jak najchętniej.

Czy wymienieni wyżej Panowie, zechcieliby skreślić w wolnej chwili kilka słów do „Samotnej duszyczki B“?

ZAPYTANIE

„Bandyta“ jest smutnym młodzianem, ciemnym blondynem o szarych oczach. Mówią, że posiada dużo powagi. Uchodzi za eleganckiego. Pyta, czy którakolwiek z Czytelniczek nie zechciałaby z nim nawiązać korespondencji?

JAK NAJCHĘTNIEJ!

„Kundzia z nad Warty.“ Do „Krainy“ przyjmuję Cię, Kochana Dziewczynko, jak najchętniej. Piszesz mi, że mieszkasz w lesie, czujesz się samotna i szalenie lubisz urządzać wycieczki rowerem lub motocyklem, oraz wyrażasz chęć nawiązania z kimś korespondencji.

Jestem przekonana, że już wkrótce Twoją samotność urozmaicą liściki, które napłyną licznie z dalekich stron. Jednakże, chociaż przybędzie Ci nowe, miłe zajęcie, proszę, nie zapomnij do mnie od czasu do czasu się odezwać.

PRZEKONAMY SIĘ...

„Blondynek w mundurze.“ Prośbę, zawartą w liście spełniam z miłą chęcią i przyjmuję Pana do „Krainy.“ Wiadomość, że czuje się Pan dobrze w naszem gronie, sprawiłaby mi dużo radości. Chciałby Pan nawiązać korespondencję z jedną z przedstawicielek „Krainy“? Sądzę, że nie będzie Pan potrzebował długo czekać na liściki, już sam pseudonim Pana natchnie niejedną Panią do skreślenia kilku słów. Zresztą o tem się wkrótce przekonamy, prawda?

„CHCIAŁABYM...“

„Lucja.“ Za śliczne kwiatki i wierszyk bardzo bardzo dziękuję.

Załączone przez Panią pozdrowienia dla „Jastrzębia“ i „Nenufara“ — przekazuję i oddaję do druku wyjątek z liściku Pani:

„Interesuje mnie bardzo muzyka. Lubię tańczyć. Jeżeli ktoś z Pań lub Panów posiada takie same upodobania, niech do mnie napisze. Chciałabym bardzo nawiązać miłą i szczerą korespondencję.“

Teczka Wujka Janusza

GODZINY SZCZĘŚCIA

Różne bywają w życiu godziny,
Wesołe, smutne, czasem ponure,
Często figlarne, jak uśmiech szczęścia,
Spędzają z czoła naszego chmurę.

W różnych się formach szczęście objawia,
Czasem tak blisko — czasem zdaleka,
Wyciągniesz rękę, a już go niema —
Szczęście jest płoche i wnet ucieka.

Więc nie goń szczęścia, by go nie spłoszyć,
Przedwczesnem słowem, albo westchnieniem...
Szczęście to dziecię w ciszy zrodzone,
Patrzy na ciebie jasnem spojrzeniem.

Bo szczęście hojne, lecz los zazdrosny,
Skąpo wydziela szczęścia godziny,
Jeśliś je posiadł, to się niem nie chełp,
By nie odeszło z twej własnej winy.

„Dzinka.“

UCISZ SIĘ MIŁA...

Ucisz się, miła — żal i ból co targa,
Najczulsze głębie twego serca,
Jako mydlana bańka wnet uleci.

Zamilknie skryta wnętrza jego skarga,
Powiedz: noc ciemną dzień uśmierca,
Po dniach pochmurnych słońce jaśniej świeci.

Ucisz się, miła — nie rozpaczaj dłużej,
Niech zniknie troską z twego czoła,
Niech szczęście oczka twe rozchmurzy.

Lato, co idzie, nowe życie wróży,
Więc bądź promienna i wesoła,
Strojne w barw tęcze błysną dnie po burzy.

Ucisz się, miła, nie roń już łez,
Rozłąki naszej nadchodzi kres,
Niedługo znowu do Ciebie powrócę,
Sploty mych ramion na szyję zarzucę
I piosnkę słodką i rzewną zanucę.
— — — —
Ucisz się, miła — znów razem jesteśmy,
Rozłąki naszej minęła noc,
Zamarłą przeszłość w naszych sercach
wskrzeszémy,
Miłości wielkiej i świętej gmach wzniesiemy,
Którego żadna nie zburzy moc.

Rogoźno, w czerwcu 1935. *„Ord - Om.“*

CHOCIAŻ NIEAKTUALNY

Zofja S. — Stołpce. Chociaż wierszyk Pani nie jest już aktualny, oddaję go jednak do druku, gdyż posiada bardzo harmonijny rytm i miły splot zdań.

WIOSNA

Już leci wiosna,
na skrzydłach radosna,
Już leci, leci nad gajem,
Nad polem, lasem, nad modrym ruczajem,
Nad strugą świeżą i czystą.

W jeziora falach iskry barwne pali
Zalała wodą smugi nad rzeką,
I wiatrem wonnym powiewa z oddali,
Czar życia niosąc daleko, daleko
W dal sino-złotą, przejrzystą.

Tam szmaragdami błonie maluje,
Kwiecie rozrzuca po lasach,
Z łanów brunatne powłoki zdejmuje —
Z zimowych budzi wywczasów,
Wonnemi tuląc je mgłami...

Śmieje się wiosna w ptaków przylocie,
W drzew pąkach śpieszy rozkwitać,
Śmieje się w gwarnych żabek rechocie,
Co wiosnę pragną powitać
Chórami chwały, radości.

Ach, jeszcze chwilka i bzy zakwitną,
Słowików w gajach trel zadrży,
W noc księżycową, w noc ciemnobłękitną,
Gdy śpiewak kocha i marzy,
O wiośnie śniąc i miłości.

Już leci wiosna,
Na skrzydłach radosna,
Już leci, leci nad gajem,
Nad polem, lasem,
Nad modrym ruczajem,
Nad strugą świeżą i czystą,
W dal sino-złotą, przejrzystą,
Wonnemi tuląc je mgłami...
Wszędzie witana hymnami,
Chórami chwały, radości,
O szczęściu, wiośnie, miłości...

Stołpce, w czerwcu 1935. *Zofja Śląska.*

ZA SŁOWA UZNANIA — DZIĘKUJĘ

„Blanka.“ Droga Pani! Te kilka przesłanych mi słów, zapadło w mą duszę, jak garść dobrych, słonecznych promyków. Przeczytać taki list, jaki otrzymałem od Pani, to bardzo pożądana reakcja w nużącej i nieustannej pracy. Człowiek mimowoli nabiera szerszego oddechu, jaśniej mu się robi w duszy i raźniej zabiera do dalszej pracy. Dziękuję więc najserdeczniej za słowa uznania, skierowane pod moim adresem i proszę nie wątpić w uczucia przyjaźni, jakie żywię dla Pani.

Fotografji narazie, z kilka razy podanych powodów, nie mam zamiaru umieścić.

Co słychać w polityce?

Tydzień miniony zaznaczył się w polityce światowej *szeregiem wydarzeń* o pierwszorzędnem znaczeniu.

Głównem wydarzeniem, skupiającem uwagę polityczną było ostatnie *przesilenie we Francji*, która przeżyła okres wysokiego, politycznego napięcia.

Waluta francuska była w ostatnim czasie celem ataków międzynarodowej spekulacji, która wpłynęła na zmniejszenie zapasu złota w Banku Francji. Wprawdzie frank nie został zachwiany, akcja spekulantów jednak wywołała w całym kraju falę niepokoju, która wyraziła się między innemi wycofywaniem wkładów. Obywatele francuscy, obawiając się nowej zniżki emerytur i poborów, i — najważniejsze — nowej zwyżki podatków, schowali około 35 miljardów franków do pończochy.

Przywrócenie zaufania do stałości franka, jest jednym z głównych zadań wewnętrznej polityki francuskiej. *Rząd Flandina*, zarządał w tym celu pełnomocnictw od izby, która, ze względów czysto demagogicznych odmówiła rządowi poparcia.

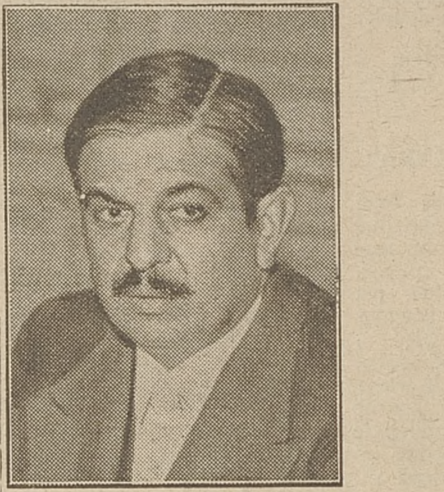
Utworzony *gabinet Bouissona*, który ze względu na swą przeszłość polityczną, liczyć mógł na poparcie lewicy, dziś więcej niż kiedykolwiek dochodzącej do głosu.

„Rząd, który staje przed izbą, jest utworzony na zasadzie unji najszerszej od czasu wojny" — temi słowami zaczynała się deklaracja Bouissona na wtorkowem posiedzeniu Izby deputowanych. A parę godzin później ta „najszersza unja" zamanifestowała się... upadkiem rządu, obalonego większością dwóch głosów.

Trudno o bardziej druzgocącą ironję. Jakaż jest możliwa w tych warunkach siła i trwałość jakiegokolwiek rządu?

Podobno Bouisson nie był dość kurtuazyjny wobec Izby, wspominając o konieczności jej dłuższych feryj, — on, który właśnie dla swego taktu i umiejętności oszczędzania wszelkich drażliwości już osiem razy z rzędu wybierany był przewodniczącym Izby. Więc któż posiadać będzie tę umiejętność w większym stopniu?

Najklasyczniejszy właśnie jest fakt, że po głosowaniu 14 deputowanych zgłosiło gotowość zmiany swych głosów — z przeciwnych rządowi na popierających go. Posłom tym chodziło wyłącznie o zaasekurowanie się przed wyborcami, a byli pewni, że bez ich głosów się obejdzie... co za objaw braku wszelkiej odwagi cywilnej i poczucia odpowiedzialności, co za poziom.



Wreszcie po dziesięciodniowem przesileniu powstał uczciwy rząd Lawala, powitany z żywem zadowoleniem w szerokich kołach opinji publicznej. Zwycięstwo rządu jest przedewszystkiem zasługą premjera, który zastosował bardzo zręczną taktykę. Poza tem należy wziąć pod uwagę zmęczenie kryzysem i fakt ten, że parlament spotykał się z ostremi zarzutami ze strony opinji publicznej. W tych warunkach Izba nie chciała stawiać trudności nowemu gabinetowi.

Prasa francuska zaznacza, że na prawicy i w centrum panuje pewne zadowolenie z powodu składu osobowego gabinetu. Poza tem jednak osoba premjera Lavala wzbudza zaufanie. Jest on doświadczonym politykiem i mężem stanu, świadomym swych zadań.

„Matin" stwierdza, że aczkolwiek zdolności i zalety *ministra Lavala* były znane, nikt nie przypuszczał, że zdoła on w tak krótkim czasie rozwiązać niezwykle trudne przesilenie gabinetowe. Premjer Laval pobił rekord szybkości w tworzeniu rządu i uzyskaniu dla niego votum zaufania. „Ere Nouvelle" — organ Herriota pisze, że Laval wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Przekonał on parlament, że izby ustawodawcze nie mają prawa krępować rządu w jego wysiłkach do obrony waluty. Zarazem nowy premjer wykazał, że nie zamierza w niczem naruszać słusznych uprawnień parlamentu i że obecnemu ustrojowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

*

W tym samym czasie, *nastąpiła w Anglji rekonstrukcja gabinetu*, na czele którego stanął



wytrawny polityk i mąż stanu *Baldwin*. Nowy rząd prowadzić będzie politykę jedności narodowej. Najważniejszym przesunięciem w gabinecie angielskim jest zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych, które po zbyt chwiejnym często Sir John Simonie obejmuje rozważny ale zdecydowany sir Samuel Hoare. Kierownictwo rządu narodowego przeszło w ręce najsilniejszej grupy konserwatystów.

Nowy gabinet liczy 22 członków i jest najliczniejszym gabinetem od czasów wojny światowej. Mac Donald jako prezydent rady tajnej będzie pobierał 2.000 funtów rocznie zamiast dotychczasowych poborów w wysokości 5.000 funtów. Natomiast syn jego Malcolm, który został ministrem kolonji będzie otrzymywał 5.000 funtów rocznie.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 16. VI. do 22. VI. 1935 r.

Niedziela, dnia 16 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 12.03 Feljeton 12.20 Poranek muzyczny. W przerwie poranku o godz. 13.00: Teatr Wyobraźni nadaje fragmenty słuchowiskowe 14.00 Koncert 15.00 Pogadanka rolnicza 15.10 Muzyka salonowa 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Beethoven: Warjacje c-Moll 15.45 Porady weterynaryjne 16.00 Koncert 16.45 Szkic literacki 17.00 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Transmisja 18.20 Orkiestra 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.45 „Zycie na Wiśle „19.25 Utwory fortepianowe 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Dziennik wieczorny 20.10 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 20.15 „W godzinę śmierci" 21.30 Audycja literacko-muzyczna 22.00 Transmisja meczu piłkarskiego Polska—Węgry 22.20 „Marynarka gra" 23.05 Wiadomości sportowe 23.25 Muzyka salonowa.

Poniedziałek, dnia 17 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk". Koncert 16.00 „Gdynia, okno na świat". Audycja 16.50 „Legendka o tańcu" 17.00 Koncert 17.45 St. Moniuszki „Bajka" 18.00 „Od Gutenberga do linotypu" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Ottorino Respighi: Fontanny rzymskie 19.30 Audycja żołnierska 19.50 „Co czytać" 20.00 „Skrzynka rolnicza". W przerwie I Dziennik wieczorny. „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 20.10 „Lilje — opera F. Szopskiego. W przerwie II Wiadomości sportowe 23.05 Muzyka salonowa.

Wtorek, dnia 18 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert orkiestry. W przerwie o godz. 13.00 Chwilka dla kobiet 15.30 F. Mendelssóhn-Bartholdy: Trio d-moll op. 49. 16.00 „Skrzynka P. K. O." 16.15 Pieśni w wyk. Eugenji Hoffmanowe 16.25 Recital fortepianowy 16.50 „Adolf i Marjan" — Heleny Boguszewskiej 17.00 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 W tyglu słonecznym 18.10 Bolesław Leśmian „Szmer wioseł„ 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Muzyka salonowa 19.00 „Dokąd jechać w święto?" 19.30 Recital fortepianowy Marji Barrówny 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Transmisja fragmentów międzynarodowego meczu tenisowego 20.25 Mała orkiestra P. R. 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert symfoniczny 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Mała orkiestra P. R.

Środa, dnia 19 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk". W przerwie — Chwilka dla kobiet 15.15 „Jedziemy na kolonje" 15.30 Cytra i piosenka" 16.00 „Z małemi dziećmi na wsi" 16.15 Z oper Piotra Mascagni'ego 16.50 „Nené i Nini" (dwie sieroty) 17.00 Koncert Mandolinistów 17.35 IX-ty Koncert z cyklu „5 wieków muzyki kameralnej" 18.00 „Psa my Krasińskiego„ 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Listy od dzieci" 18.45 L. v. Beethovena: Symfonja F-dur Nr. 8 19.30 Pieśni R. Schumanna 19.50 Reportaż 20.00 „Rybactwo latem" 20.10 Koncert Zespołu salonowego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 „Egzamin" 21.40 Seweryn Barbag: Sonata na wiolonczelę i fortepian 22.00 Transm. fragmentów międzynarodowego meczu tenisowego Polska Japonja 22.05 Wiadomości sportowe 22.25 Mała Orkiestra P. R.

Czwartek, dnia 20 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 „Boże Ciało w Łowiczu" 12.03 „W puszczy rudnickiej" 12.20 Poranek muzyczny. W przerwie o godz. 13.00—13.20: Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy ze Lwowa 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Igranie z ogniem" 15.10 Płyty 15.22 „Praca i zabawa w życiu dziecka wiejskiego" 15.35 Rimskij-Korsakow: „Antar" — symfonja 16.00 „O biskupie który pisywał bajki" 16.15 Recital fortepianowy Marjana Dąbrowskiego 16.50 „Czarny lud" (Obrazek warszawski) 17.00 Koncert „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 O książce Niezabytowskiego „Polskie ssaki" 18.10 „Ciszy, ach ciszy,..." Kazimiery Zawistowskiej 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Muzyka (płyty) 18.45 Utwory polskie w wyk. Ireny Dubiskiej 19.30 Arje i pieśni w wykonaniu Józefa Schmidta 19,50 Pogadanka aktualna 20.00 Koncert symfoniczny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 „Trzecia Litanja Ostrobramska" 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko 22.00 Tr. fragmentów międzynar. meczu tenisowego Polska—Japonj 22.20 Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 21 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk". W przerwie o godz. 13.00 Chwilka dla kobiet 13.30 „Z rynku pracy" 15.30 R. Schumann: Kwintet Es-dur op. 44 16.00 „Odżywianie w lecie" 16.35 Pogawędka dla chorych 16.50 „Łajdak" — St. Piołun-Noyszewskiego 17.00 X Koncert z cyklu „Pięć wieków muzyki kameralnej" 17.30 Koncert w wyk. Orkiestry P. R. 18.00 „Letnisko podmiejskie" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka salonowa 19.30 Utwory na wiolonczelę 19.50 „Rozmowa z Lechoniem" 20.00 „Skrzynka rolnicza" 20.10 Z twórczości Lucjana Marczewskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert Symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 „W krainie pięknych głosów".

Sobota, dnia 22 czerwca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka 14.30 Nowości z płyt 15.25 „Nasz handel morski" 15.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Mała Orkiestra 16.50 „Sarenka Naluka" „Codzienny odcinek prozy" 17.00 Koncert „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Poradnik isportowy 18.10 „Minuta poezji" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Utwory J. S. Bacha 19.30 „Nasze pieśni" 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Poznajmy przepisy finansowo-rolne" 20.10 „W muzykalnej rodzinie" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.30 „W góry, w góry miły bracie" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Audycja literacka 22.30 Mała Orkiestra.

Ze świata

Architektura muzułmańska

W Neapolu została otwarta specjalna wystawa sztuki architektonicznej muzułmańskiej, na której zgromadzono wiele niezwykle ciekawych objektów w formie reprodukcyj fotograficznych i plastycznych, dających doskonałe pojęcie o całokształcie i rozwoju historycznym tej sztuki od jej początków do chwili obecnej. Obficie reprezentowane jest zwłaszcza Średniowiecze.

Przesuwanie się góry w Bawarji

Miejscowość bawarska Zeil zagrożona bardzo poważnie przez osuwanie się wzgórza zaabsorbowała uwagę władz, które widzą jedyny ratunek w ewakuacji ludności do bezpieczniejszej okolicy. Jednocześnie są czynione specjalne kanały i kopane głębokie studnie celem osłabienia naporu wzgórza, spowodowanego przez wodę podskórną.

Raj kobiet

Na chłodne dni i wieczory



76 280 Sportowy komplet z cienkiej wełny, składający się z szerokiego, trzyćwierciowego płaszcza i wąskiej spódniczki.

76 373 Spódniczka i peleryna z szaroniebieskiej kraty tworzą z niebieskim pulowerem bardzo efektowną całość. Kraty potrzeba 2,25 m, a materjału gładkiego 1,05 m, szerokości 130 cm.

76 281 Kostjum ten jest bardzo odpowiedni również dla nieco starszych i tęższych pań. Ładnie wygląda zrobiony z wełny w marynarskim kolorze. Bluzeczka biała, z piki.

76 267 Elegancka sukienka spacerowa z czerwonej wełnianej crepy o bardzo oryginalnym żakiecikowym kroju bluzki. Rękawy trzyćwierciowe.

76 286 Młodociany komplet z jasnożółtej wełny o szerokim, dość długim żakiecie i kamizeleczce z brązowego aksamitu, wykończonej z przodu trzema kokardkami.

76 574 Niezwykle oryginalny kostjum z lekkiej, ciemnej wełny z fantazyjnym żakiecikiem, którego wykończenie stanowi jasny, jedwabny szalik.

76 268 Sukienka, dobrze modelująca figurę; elegancja jej polega na oryginalnych, wiszących częściach.

Kroje powyższe (Vobacha) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. nr. 209.062.

—o—

Mieć powodzenie!

Ileż kobiet marzy w ten sposób. Och, być czemś! mieć to, co mężczyźni określają słowem „Ona ma coś"! Podobać się w towarzystwie! Sprawiać, żeby obracały się za tobą setki oczu! Nie czuć się nigdy upokorzoną, zepchniętą na drugi plan przez inną! Mieć powodzenie!

Oto bolączka tylu kobiet. I tych, które choć zdolne, są spychane w sprawach zawodowych przez inne. I tych żon, zaniedbywanych przez mężów dla innych kobiet. I tych, z któremi się nie żenią, wybierając sobie brzydsze i głupsze od nich za żony.

Jak na tym świecie, na którym ideałem urody kobiecej są gwiazdy filmowe, na którym roi się od platynowych główek i wygiętych rzęs, jak na tym świecie ma się wybić, ma dać sobie radę przeciętna, niepewna siebie zestrachana kobieta?

Odpowiedź na to pytanie jest jedna. Przedewszystkiem być sobą.

„Jakto sobą?" spyta niejedna kobieta, „przecież ja jestem taka niepozorna. Jak będę sobą, to spewnością usuną mnie w cień."

To nieprawda! ludzie wokoło sądzą nas tak, jak my siebie samych. Kobieta, która ma poczucie własnej wartości, nigdy nie będzie zepchnięta w cień. Nie powinna tylko brać sobie przykładu z innych kobiet, które wydają się jej od niej wspanialsze. Nie powinna wzorować się na żadnych ideałach kobiecych. Powinna rozwijać swoje przyrodzone cechy charakteru, sama myśleć, a nie zgadywać co sobie o tej sprawie myślą inni.

Należy tylko wpoić w samą siebie to poczucie, że się ma w sobie wszelkie zadatki na powodzenie, że się jest młodą, pełną sił, energji i ciekawych cech charakteru.

Jedną z tajemnic powodzenia jest, by w żadnem środowisku nie czuć się niższą od otoczenia. Należy pamiętać o tem, że nasz własny świat, choćby był różny od świata tamtych, jest niemniej interesujący i nie ustępuje tamtemu w niczem.

Pewność siebie, zaufanie w swoje siły, brak pozy, brak naśladownictwa — oto cechy, które każdej kobiecie, czy to w pracy, czy w życiu domowem, czy w towarzystwie muszą zapewnić upragnione powodzenie.

Ze świata

W beczce przez Ocean

Polak amerykański, niejaki pan Ernest Biegajski zamierza odbyć ryzykowną podróż z Ameryki do Europy w... beczce, w zwykłej beczce. Łatwość odbycia takiej eskapady tłumaczy sobie tak: Nie jest żadną tajemnicą fakt, iż zakorkowana butelka wrzucona u brzegów Stanów Zjednoczonych, buja sobie swobodnie po falach oceanu przez parę tygodni i następnie ląduje u brzegów Irlandji. Dlaczegóżby więc, umieściwszy się w silnej beczułce, nie miał powędrować drogą butelczyny?

Kochany nasz rodak ma zamiar wyposażyć się w spory zapas żywności i w najbliższym czasie wybrać się w podróż. Nic nam innego nie pozostaje, jak życzyć kochanemu panu Biegajskiemu „szczęśliwej podróży".

—o—

Podróż rzeczno-morska w łodzi gumowej

Dwaj odważni młodzi żeglarze wyruszyli ze Szwajcarji na niezwykłej łodzi, sporządzonej z gumy i opatrzonej w niewielki żagiel. Przebyli oni w ten sposób już Ren i dotarli do Marsylji, skąd mają podążać do Konstantynopola, zwiedzając po drodze Sycylję i Maltę. Oryginalni podróżnicy, nocujący po wylądowaniu na plaży, zwracają na siebie powszechną uwagę miejscowej ludności nadmorskiej.

—o—

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

	ty	gi	wiel	sza	
po	ki	ty	ga	bo	ty
bo	mi	nie	i	nas	bo
mi	gar	je	czy	no	u
gdy	nie	klej	dzaj	steś	nią

Ruchem konika szachowego odczytać rozwiązanie.

ZDANIA BEZ SAMOGŁOSEK

J.k.ż r.d.ść p.w.nn. b.ć w w.s ż.śc. [mł.dz.
ż. prz.d w.m. .tw.r.m st.. c.ł. ż.c..
ż. m.ż.c.. j. w.k.ć w j.k.ś kszt.tł. [.lbrz.m.
prz.j.sn. prz.p.t.żn. d.mn. c.dn. w..lk.
ż. w w.sz.ch mł.d.ch dł.n..ch 1.ż. [prz.szł.ść św..t.
sł.b.śc.. w.sz. s.ln. 1.b s.ł. b.g.t.!

W miejsce kropek należy powstawiać samogłoski, aby otrzymać pełne brzmienie zdań.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 21 czerwca b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 21—22 „Moich Powieści": Łamigłówka imienna: 1. *Apo*lonja, 2. *D*omicela, 3. *E*leonora, 4. *L*eokadja, 5. *A*ntonina, 6. *J*uljanna, 7. *D*aromiła, 8. *A*grypina, — całość: *Adelajda.* Arytmograf: 1. *K*lon, 2. Sos*n*a, 3. L*i*mba, 4. Świe*r*k, 5. *J*awor, 6. Brzo*za* — całość: *knieja.*

Trafne rozwiązania nadesłali: Czesław Kozłowski, Warszawa — Henryk Silczyński, Warszawa — „Aleksiej" — Eugenjusz Wesołowski, Bydgoszcz — Cecylja Gromkówna, Zgierz — Helena Szajner, Lublin — Wacław Bultrowicz, Gniezno — Irena Korzyńska, Wilno.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Irenie Korzyńskiej z Wilna i Wacławowi Bultrowiczowi z Gniezna, ul. Św. Krzyska 13.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

40)

A zabraknie mi mowy, niech wyczyta w mem spojrzeniu, co mi zrobił i że on jest przyczyną mej wczesnej śmierci!"

Pobiegła do okna, — czuła, że już traci zmysły, — że obłęd czem raz bardziej nad nią swe sieci rozciąga. Bez wątpienia byłaby zamiar swój okropny wykonała, gdyby w tej samej chwili, w której się już do okna dobierała, nie ozwał się zgrzyt klucza w zamku, i nie otworzyły się zwolna drzwi.

Był to stary Walenty, który wszedł i z widocznem współczuciem w oczach zbliżał się do Anielci.

„Moja panienko", rzekł starowina, „pan hrabia mnie do panienki przysyła, — on to sam te drzwi zamknął na klucz".

„I wam kazał to mnie powiedzieć?" zawołała z goryczą w głosie, „to już całkiem zbyteczne, — wiele rozumu do tego nie trzeba, by się domyśleć!"

Z temi słowami chciała wybiec z pokoju, — ale Walenty schwycił ją za rękę i zatrzymał.

„Jeszcze chwilkę, panienko", rzekł proszącym niemal głosem, — „jeszcze nie spełniłem zlecenia, — pan hrabia każe panience powiedzieć, że mocno ubolewa i prosi o przebaczenie za ten przymus, za to zamknięcie, na które sobie wobec panienki pozwolił. —

„Inaczej nie mógł sobie postąpić, a potem, powiedział pan hrabia, — że spokój własnego dziecka stoi u niego na pierwszem miejscu".

„Spokój własnego dziecka! — To są ludzie, — ale o spokój cudzego serca nikt nie pyta!"

„Pan hrabia każe panienkę także prosić", ciągnął nie zbity z tropu dalej, „by się zechciała uspokoić, a nadto powiedzieć że, — — mówił by... —"

„Co powiedział?" przerwała niecierpliwie Anielcia, „tylko krótko i prędko, — nie mam czasu do stracenia".

„Pan hrabia był tego zdania", jąkając się mówił stary, któremu spełnienie tej części polecenia trudnem się być wydawało, „że panienka w tym domu dłużej pozostać nie może, chociaż pan hrabia wyraźnie zaznaczył, że panienkę bardzo ceni, — więcej jeszcze, że bardzo lubi".

„Lubi? — To nieprawda; nikt wogóle mnie nie lubi".

„O, panienka, taka piękna i taka dobra", odrzekł stary Walenty, „my panienkę, chociaż w tak krótkim czasie, tak pokochaliśmy serdecznie. — Pan hrabia dał mi także kopertę dla panienki. To na początek tylko — i kazał powiedzieć, — że panienka może zawsze na pana hrabiego liczyć, — on panienki szczerym przyjacielem".

„Moim przyjacielem?" zawołała drwiąco Anielcia i wyrwała staremu kopertę z ręki, „pokażcie, ciekawam, co mi mój „przyjaciel" ma do powiedzenia!"

Koperta rozdarta przez Anielcię spadła na posadzkę, — w rękach pozostała jej paczka banknotów.

„Widzisz stary", ze złośliwą ironią w głosie rzekła do Walentego, „tak wygląda przyjaźń ludzka! To jest wszystko, co mi ma mój „przyjaciel" do powiedzenia! — Pieniądze, — brudna mamona, — zapłata, — przekupstwo, — plaster na krwawiące się serce, — to prawdziwa przyjaźń!

„Powiedzcie panu hrabiemu", po małej pauzie ciągnęła dalej dziewczyna, „że tej pociechy ja nie potrzebuję. — Te banknoty uważam za moją własność, — a żeście sobie trudu zemną zadali, — weźcie sobie te tysiąc franków jako napitek!"

Z odwróconą twarzą podała pieniądze starcowi, który je drżącemi rękami wziął ze stanowczem postanowieniem oddania ich później swemu panu, — za nic w świecie nie zatrzymałby ich dla siebie, — na nich chyba błogosławieństwo nie spoczywało. — Anielcia wybiegła.

Pędem, co jej nóg starczyło, opuściła ten dom, w którym tyle strasznych rzeczy doznała. — Ach, z jakiemi nadziejami przestąpiła była przedwczoraj jego progi! Sądziła, że koniec wreszcie jej błąkaniu się i że znalazła ognisko! Tymczasem, — u nóg jej przepaść, na którą z brzegu patrzy z przerażeniem.

Już było dwadzieścia minut po drugiej, — ulice miasta ożywione, — Anielcia musiała z trudem pośród tłumu na bulwarze torować sobie drogę, — ulice kąpały się w świetle słonecznem, — drzewa strojne w pierwsze kwiecie, — wiosna w naturze, wiosna w sercach ludzi, a na ich twarzach odzwierciadlenie nadziei, — tylko w jej duszy zimno, ciemny, ponury, mgłą przesłonięty dzień zimowy!

W myślach pogrążona biegła tak dalej, — na rogu Montmartre omal jej wóz nie przejechał, — w ostatniej chwili udało się woźnicy ściągnąć lejcami konie.

Nie zważała na to, — może i lepiej, gdyby zaraz śmierć była znalazła. Tylko ta jedna myśl krążyła jej po głowie i opanowała całe jej jestestwo: raz jeszcze go widzieć, — raz jeszcze niewiernemu spojrzeć w oczy, — by w nich wyczytać prawdę, czy on ją rzeczywiście oszukał! A potem, niech się z nią stanie, co chce! —

Już widzi przed sobą tum Notredame, ów sławny zabytek sztuki tak ściśle z historją Francji związany.

Widzi przed nim mrowie ludzi, — rozróżnia już i powozy, powrotu gości weselnych z kościoła wyczekujące.

Jeszcze tylko ze dwadzieścia kroków dzieli ją od świątyni Pańskiej, — ucho chwyta potężne tony organów przez otwarte na oścież drzwi na zewnątrz płynące, — przyspiesza kroku, — ciżba tworzy mur z ciał ludzkich, — Anielcia przeciska się przez najbliżej stojących, słysząc przytem wyraźne słowa, które pani jakaś do drugiej powiada:

„Nie prawdaż, co za przystojny mężczyzna ten pan młody, — a co za szlachetna i poważna przytem postawa!"

„Rzeczywiście, — ale też i panna młoda jego warta. — Piękniejszej dziewczyny niema chyba w całym Paryżu".

„Tak, panna młoda jego warta", szepnęła do samej siebie Anielcia, „on mię oszukał, — a jej ojciec nikczemnie postąpił sobie zemną! — Ona jego warta!"

Tylko z największym wysiłkiem udało się Anielci utorować drogę do schodów, które do drzwi kościelnych prowadziły. A po obydwóch ich stronach mnóstwo żebraków, których uroczystość weselna tu ściągnęła, — nadzieja hojnej jałmużny tak ze strony państwa młodych, jak i gości. I na jej widok wyciągnęły się błagalne ich dłonie, — żebraków w łachmanach, — ale dziewczyna przebiegła koło nich, myśląc w duszy:

„Jam tysiąc razy nieszczęśliwsza od was! — Nie wyście żebracy, tylko ja!"

Teraz przestąpiła próg kościoła. Ogrom wnętrza jego z niezliczoną ilością jarzących świec, obrazami świętych, starożytnemi kosztownościami, filarami, wspaniałą kopułą, — wydał się jej w tej chwili wielkim grobem, — grobem jej miłości!

Dom Boży był również ciekawą publicznością przepełniony, która ściśniona stała od drzwi aż do ołtarza.

W oddali widziała jarzące się świece u ołtarza, — ujrzała kapłana we wspaniałej kapie, nareszcie i, — miała uczucie, jakby serce w tej chwili bić jej przestawało, — młodą parę.

Uroczysta ceremonja jeszcze nie skończyła się, — sakramentalne słowa jeszcze nie zostały wypowiedziane, — jeszcze czas, — jeszcze mogła mieć nadzieję, że Kazimierz widokiem jej się wzruszy, że zamiar swój odmieni. I z natężeniem wszystkich swoich sił próbowała przecisnąć się przez zbitą masę ludzi, dzielącą ją od ukochanego.

Szmer niechęci i niezadowolenia dał się słyszeć, gdy się tak Anielcia bezwzględnie przebijała, potrącając na prawo i lewo stojące osoby. Ciskano jej gniewne spojrzenia, ale ona nie zważała na to. — Co jej w tej chwili zależało na tem, co sobie ludzie o niej myślą, — w jej sercu biednem, skrwawionem, w jej duszy skołatanej czytać nie mogli, — nie domyślali, co ją tu sprowadziło, co spowodowało do zakłócenia ciszy, która panowała w tej chwili w świątyni, — ciszy, którą tylko głos kapłana przerywał.

„Naprzód, — do niego, — tylko do niego!"

To była jedyna myśl, która ją całą opanowała i popychała, jak gdyby furje ją ścigały.

A w tem dały się słyszeć donośnym głosem kapłana wypowiedziane słowa:

„Hrabio Kazimierzu Zamski, czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę tę oto hrabiankę Lolę Sokolską pojąć za małżonkę i dochować jej wiary małżeńskiej na zawsze?"

Anielcia była w tej chwili tylko o kilka kroków od ołtarza oddalona, zaproszeni goście we wspaniałych strojach otoczyli młodą parę półkolem, — ujrzała i hrabiego Sokolskiego, w którego oczach łzy połyskiwały, — widziała już teraz wyraźnie i blade oblicze Kazimierza, — o, teraz nie było ani chwilki czasu do stracenia, — bo skoro padnie słowo odpowiedzi „mam", wtenczas furtka zamknięta, wypowiedziane słowo od-

wołać się nie da, — wtenczas Kazimierz z Lolą związany całe życie, — a ona, Boże święty, dla niego na zawsze stracona, — jak on dla niej, — wtenczas Lola jego małżonką, — a ona obcą, może przelotnie kiedy wspomnianą w pamięci, a może nawet i to nie!

Lecz cóż to? — Kapłan pytał Kazimierza, — a on nic, — nie odpowiedział, — milczał.

Cisza złowroga panowała w tej ogromnej przestrzeni kościoła mimo takiej ilości ludzi.

„Hrabio Kazimierzu Sokolski", powtarzał kapłan raz jeszcze słowo za słowem, dopiero co wypowiedziane pytanie, „czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę tę oto hrabiankę Lolę Sokolską pojąć za małżonkę i dochować jej wiary małżeńskiej na zawsze?"

W tej chwili spostrzegła Anielcia, jak hrabia Sokolski przystąpił do Kazimierza, — i szepnął mu coś do ucha. Kazimierz drgnął.

Anielcia podniosła do góry ramię, — chciała doń wołać:

„Nie odpowiadaj, Kazimierzu, nie odzywaj się, — zrobisz siebie, mnie i ją nieszczęśliwymi, — nas wszystkich!"

W tem, — Anielcia doznała uczucia, jakby jej kto sztylet wepchnął do serca, — Kazimierz wyprostował się nagle, jakby przebudzony z chwilowego odrętwienia, — oczy dziwnym blaskiem strzeliły, — spojrzał w bok, jakby szukał kogo, ktoby go w tej ciężkiej, stanowczej chwili wsparł i donośnym głosym wyrzekł:

„Tak — mam!"

Anielci wzrok i słuch w tej chwili odmówiły posługi, — nie widziała wkoło stojących ludzi, — świece stanęły jej w oczach, — w uszach, jakby orkan zaszumiał, jakby orkan szalejący przewalał się przez kościół Notredame, harce w przestworze wyprawiając, — słyszy bicie dzwonów wśród tej burzy, huk, szum i hałas w bezładnym rozdźwięku niedobranych tonów!

Gdy przejrzała i do przytomności po chwilowem odurzeniu wróciła, — rozpoznała, że właściwa ceremonja się już odbyła, — kapłan trzymał ręce wyciągnięte nad młodą parą, a z ust jego płynęła modlitwa o błogosławieństwo niebios dla niej.

„A wy", — kończył, — pokochajcie się wzajemnie, jak Bóg przykazał; niech żadna chmurka nie zejdzie na horyzoncie waszego pożycia małżeńskiego. Spokój i zgoda niech u was zamieszka, a szczęśliwość doczesna stanie się waszym w całej pełni udziałem, co wam życzę — amen!"

I jak powiewem wiatru niesione ponad tłumem echo powtórzyło:

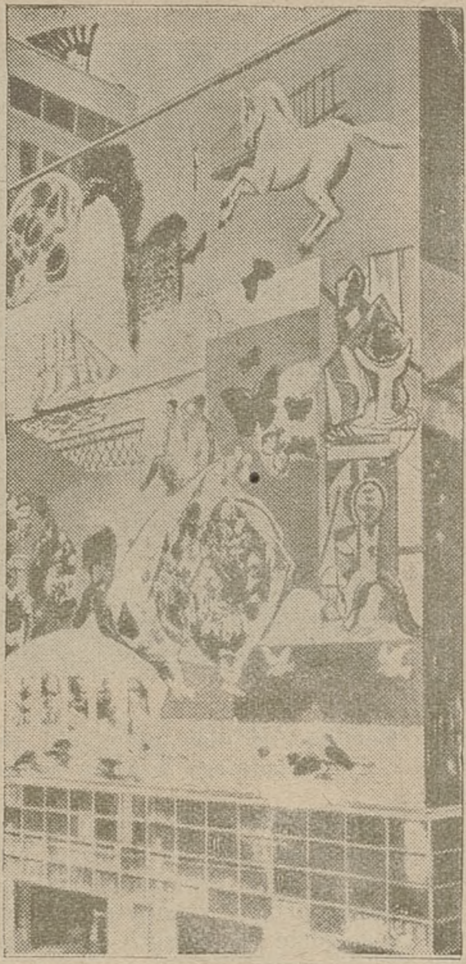
„Amen!"

„Amen!" powtórzyli szmerem obecni.

„Amen!" machinalnie rzekła i Anielcia. „Zgubionam na zawsze!"

W tej chwili ozwały się potężne tony organów, — jakby głos olbrzyma, co padłszy na kolana w tej świątyni pańskiej, składa hołd Wszechmocnemu Stwórcy.

Anielcia objęła obydwoma rękami filar, nie mogąc się na własnych nogach utrzymać.



Gmach wielkiej gazety japońskiej „Osaka Asahi Shimbun" z malowidłami mającemi wprowadzić w błąd samoloty nieprzyjacielskie.

Blada jak śmierć, wielkiemi, rozwartemi oczami śledziła dalszą scenę przed ołtarzem, — co tam widziała, wrzynało się w jej serce, dalej je krwawiąc.

Hrabia Zygmunt Sokolski przycisnął Lolę do serca, — całował ją ze łzami w oczach, — podał następnie zięciowi swemu rękę, pociągając ku sobie, — i w tak gorącym uścisku spoczęło tych troje ludzi, połączonych nierozerwalnemi węzłami natury i sakramentu.

A i inni goście po kolei składali następnie życzenia młodej parze, i ojcu hrabiemu Sokolskiemu. Oblicze Loli gorzało rumieńcami jak w ogniu, — triumf zadowolenia i radość malowały się aż nadto widocznie w jej oczach. Zato Kazimierz był blady jak śmierć. Z jego smutnie spoglądających oczu wyzierała dziwna jakaś determinacja, jakiś przymus, niesmak i niezadowolenie z kroku, który zrobił. Że go jednak zrobił, tego pojąć i zrozumieć Anielcia nie mogła.

Czyż jej nie zapewniał i jej nie przysięgał, że do niej tylko na całe życie należy, — czyż nie dla niej tylko dostał się do zakładu doktora Morizano, — by ją ratować, — czyż nie walczył i nie cierpiał dla niej? — A teraz, — wszystko zapomniane, wytarte z pamięci, — teraz należał do innej, która go małżonkiem zwać miała prawo, — związana z nim nierozerwalnymi węzłami!

Tłum ludzi jak płynąca lawa toczył się ku drzwiom kościoła, porywając Anielcię ze sobą.

I szła, sunęła się z tą ciżbą, — cóż tu miała robić. Widziała, co widzieć chciała, — słyszała, co było do słyszenia,

— nie miała więcej nic do czynienia, — ani tu, ani wogóle w życiu, nie pozostawało jej teraz nic więcej — jak śmierć — —

Hrabia Kazimierz prowadził małżonkę ku wyjściu, kroczącego za nimi hrabiego Zygmunta oblicze jaśniało mu dumą i zadowoleniem, że szczęście jego ukochanego dziecka w tak pewnych spoczęło rękach.

Przed drzwiami kościoła poruszyli się żebracy. Każdy z nich przybrał pozycję odpowiednią, by swą niedolę jak najjawniej uwidocznić, — litość wzbudzić, — i jak najhojniejszą jałmużnę uzyskać. Wiedzą to dobrze, że młodzi małżonkowie w takiej chwili nie skąpią grosza. A stary to zwyczaj z kościołem Notredame związany. Nowożeniec, wychodząc z kościoła z poślubioną sobie przed chwilą, wypróżnia co do grosza sakiewkę, dzieląc między biednych. To też wieść o mającym się odbyć każdym uroczystszym ślubie ściąga tłumy żebraków pod kościół ze wszystkich stron Paryża.

Kazimierzowi nie obcym był ten zwyczaj; zaopatrzył się więc w dostateczną ilość złotych i srebrnych monet.

Gdy teraz stanął, wychodząc z Lolą na progu kościoła, zaczęli się cisnąć biedacy. Starcy nieudolni, kobiety, chorzy, kaleki, dzieci, wszystko wyciągało ręce, czapki, kapelusze, żebrząc jałmużny.

Pełnemi garściami, uwolniwszy swe prawe ramię, na którem oparta była Lola, — rozdzielał Kazimierz pieniądze na lewo i na prawo.

A Lola? — W swej śnieżnobiałej ślubnej sukni, — z uśmiechem na ustach, — rumieńcami na twarzy i radością w swych cudnych oczach wyglądała czarująco. Cisnąć się do boku męża szepnęła pocichu:

„Jak to pięknie, że nowe życie nasze znaczyć możemy rozdzielanemi dobrodziejstwami."

„Nieszczęśliwi", odrzekł również z cicha Kazimierz, — „odczuwają tem silniej nieszczęście drugich, — i ulgę im sprawia, gdy są w możności, nieść im pomoc."

„Nieszczęśliwi?" szepnęła mu Lola do ucha, „ty przecież nim nie jesteś, mój drogi, — tobie zdaje się tylko, — cierpliwości chwilkę, a ukaże ci się szczęście w nadobnej postaci, — zamkniesz je w swych ramionach, — i będziesz przez nie sam nieszczęśliwym!"

Nie dosłyszała odpowiedzi Kazimierza, który, opuściwszy głowę na piersi, rzekł już właściwie sam do siebie:

„Przenigdy!"

Sprowadził ją po schodach. Powóz zajechał, — służący w liberji z kapeluszem w ręce, w pokornej postawie otwierał drzwiczki powozu.

W chwili, gdy Lola wsiadać miała pierwsza do powozu, zbliżyła się młoda, pochylona, młodzieńcza postać niewieścia.

Kazimierz objął ją powierzchownie wzrokiem, sięgnął do kieszeni i wyjął dwie złote monety, — niech i ta nie odejdzie nieobdarowana.

„Zatrzymaj to sobie", rzekł podając kobiecie pieniądze.

Zwolna podniosła nieznajoma głowę, Kazimierz ujrzał, że twarz jej była zakryta ciemno-niebieskim welonem.

Gdy wzrok jego spoczął na tym welonie, nagle jakby piorunem rażony wstrząsnął się. Zdawał się zapominać zupełnie o obecności Loli, — wzrok utkwił w młodą dziewczynę, — nagle sięgnął ręką do kieszeni fraka i wyjął z niej kawał tkaniny, — i dziwna, — tej samej barwy, ta sama brakująca część.

Lola chwyciła Kazimierza za rękę, — gwałtownym ruchem uwolnił się od niej.

„Proszę cię, zostaw mię," wybuchnął; „ta dziewczynna tu, — o której myślałem, że chce jałmużny, — ma prawo do największej wdzięczności z mej strony, bo wiedz o tem, że to ta, której życie zawdzięczam, — ona to odstraszyła morderców, którzy na mnie czatowali. — Ktokolwiek jesteś, szlachetno dziewczyno, serce moje przepełnione jest wdzięcznością ku tobie, — szczęśliwym się czuję, że ci podziękowanie złożyć mogę w tej chwili, która jest nowym etapem w mem życiu. Powiedz, co mogę zrobić dla ciebie? — Czem wdzięczność moją okazać? Jak się zdaje, biedną jesteś, — nieszczęśliwą? O, powiedz, w jaki sposób to, coś dla mnie uczyniła, odpłacić mogę?"

Młoda dziewczyna stała ciągle jeszcze nieruchoma. Wreszcie zwolna podniosła welon i głosem tak zmienionym, jakby to nie był jej, zawołała:

„Długu ty wobec mnie zaciągniętego, nie spłacisz nigdy hrabio Kazimierzu Zamski, — długu, który jest tak wielki, jak ciężki mój ból, — oby ci Bóg kiedyś ustami wybełkotał:

Z ust Kazimierza wyrwał się okrzyk. Cofnął się w tył, jakby nagle zobaczył straszydło, — pobladł cały, — drżącemi ustami wybełkotał:

„Anielcia, — Anielcia, — ale nie, to nie ona, — to nie może być, — to jej duch chyba, — duch, który przychodzi robić mi wyrzuty, żem dziś przed ołtarzem złamał przysięgę."

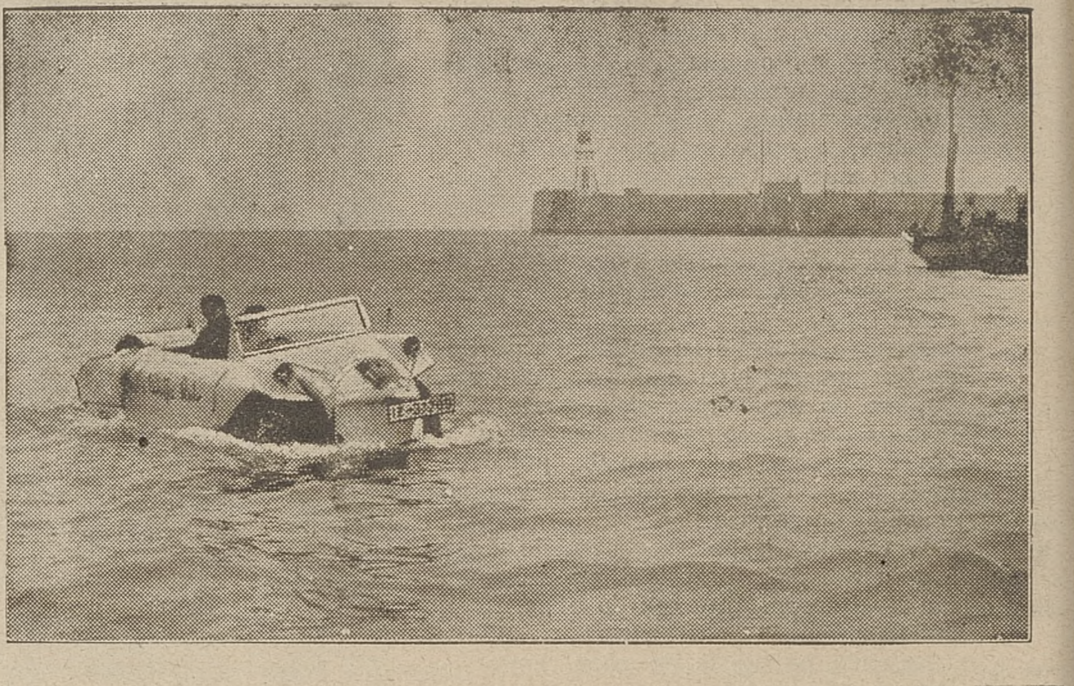
„Na Boga, co się tu dzieje?" zawołał hrabia Zygmunt Sokolski, stając między Kazimierzem a Anielcią, „Kazimierzu, proszę cię, żadnych scen, — wsiadaj do powozu, — goście zaczynają już zwracać uwagę, — zaklinam cię, mój synu."

„Zostaw mię w spokoju, ojcze", gwałtownie, choć półgłosem odparł Kazimierz, „czyż nie widzisz, że wróciła ta, która jedynie ma prawo do mojej miłości? — Usuń się, hrabio, — moja Anielcia wróciła, — Anielciu! Dokąd? Na Boga, — zniknęła!"

Hrabia Zygmunt usunął się na bok, — blady, smutny, do głębi przerażony, — choć uspokojony po części myślą, że ślub się już odbył, że drżeć o szczęście swego dziecka więcej nie potrzebuje, bo się dziewczyna oddaliła.

Na tem miejscu, gdzie przedtem stała, pozostał na bruku kawał welonu, — i wiatr go podwiał i uniósł jak ostatnie wspomnienie, jakie Kazimierzowi po tej biednej istocie pozostało, — jakby nic więcej pozostać nie miało, jak dręcząca i mózg paląca myśl, że po to znalazł na nowo Anielcię, by ją na wieki utracić.

Powiódł wzrokiem bacznie po tłumie, nigdzie jej nie widział,



Pewien inżynier niemiecki skonstruował auto, które po nałożeniu na koła odpowiedniego aparatu znakomicie posuwa się po wodzie, nie tonąc.

Zniechęcony do najwyższego stopnia, wsiadł za Lolą do powozu, rzucił się w kąt, — drzwiczki zatrzasnął za sobą, — konie ruszyły z kopyta i uniosły z miejsca, gdzie raz jeszcze ujrzał Anielcię, — może poraz ostatni w tem życiu.

Przymknął oczy, — łzy cisnęły się do nich i zaperliły się na rzęsach. Nie widział, że Lola firankę przy oknie nieco odsunęła i spoglądała przez nie na ulicę, na której rogu szybkim krokiem widziała oddalającą się Anielcię.

„Więc to ona!" — syknęła do siebie; „ta, którą sama przyciągnęłam do siebie! — Szczęście, że sama zrzuciła maskę z siebie, zanim mi mogła stać się niebezpieczną! Dobrze, że ją znam, teraz, — biada jej, gdyby się ośmieliła kiedy, stanąć mi w drodze i krzyżować plany, — ha, poczekaj, zalotnico, dam ja już sobie z tobą radę!"

Następnie zwróciła się do swego młodego męża, — rzuciła namiętne spojrzenie, — jeszcze piękniejszym się jej wydał niż zwykle, — uchwyciła go za rękę i chciała się przysunąć do niego.

Kazimierz wzdrygnął się, — ze wstrętem odsunął się od niej i rzekł ochrypłym głosem:

„Daj mi spokój! — Oddałem się tobie ciałem, — ale ma dusza i serce należy do tej biednej, nieszczęśliwej dziewczyny, którą popchnąłem w rozpacz a może i na śmierć wydałem!"

LV.

Ostatnia walka

Rozpacz i śmierć! — Gdy hrabia Kazimierz te słowa wymawiał, nie przeczuwał może, jak bliskiemi były one prawdy.

Rozpacz szarpała sercem Anielci, gdy się z pod kościoła Notredame oddaliła, — jak szalona przebiegała ulice, bez planu, bez celu, nie wiedząc dokąd ma swoje kroki skierować.

Wracać do domu, do owej lichej izdebki na poddaszu, którą dotąd zamieszkiwała, — na nowo zaczynać to nędzne życie, jakie wiodła, zanim się dostała do pałacu hrabiego Sokolskiego? — Nie, tego nie zrobi!

Poddała się była losowi, — pracowała od wczesnego rana do późnej nocy, — gorzko na chleb zarabiała. Znosiła jednak to wszystko, — bo na dnie jej duszy tliła iskierka nadziei: Prędzej czy później doczeka się Kazimierza i z nim połączy się na całe życie.

Ta iskierka dziś zgasła i ciemność zaległa jej duszę. Przedmiot swej miłości znalazła, — ale u boku innej.

Niepowrotnie był dla niej straconym, — nadzieja z jej serca uleciała, — a miłość zamieniła się w ból! Cóż miała począć dalej na tej ziemi, która nie miała dla niej nic więcej, prócz rozczarowań.

Od przyszłości nie miała się niczego spodziewać, — teraźniejszość napełniała ją goryczą, — przeszłość we mgle niewyraźnej za nią.

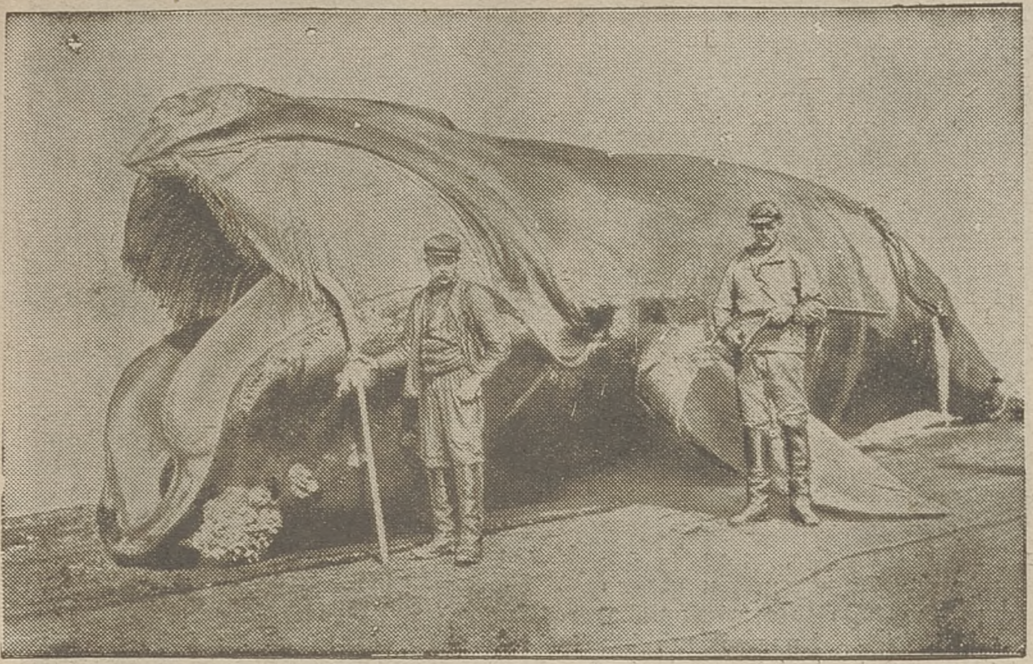
Jedna, jedyna godzina szczęścia w życiu, tam z kraju lasu z Kazimierzem, — gdzie to on ją swą nimfą leśną zwał, — do serca przyciskał, — i przysięgał kochać ją na wieki.

Na wieki! — Toż więc była wieczność, o której ludzie mówią, — krótki sen i straszne przebudzenie się! — Anielcia była taką goryczą, takiem oburzeniem przejęta, że z trudnością tylko powstrzymywała klątwy na cały świat, na całą ludzkość jakie się jej na usta cisnęły.

Nie, nie chciała być niesprawiedliwą. Dlaczego dla jednego, co zgrzeszył, cały świat i wszystkich ludzi przeklinać!

Nawet Kazimierza nie chciała całkiem potępiać. — On był taki blady, taki smutny, nie wyglądał wcale na szczęśliwego pana młodego! On pewnie zawarł to małżeństwo wbrew własnej woli i chęci, tem mniej z miłości, — zapewne jakiś żelazny przymus, jakaś nieznana jej konieczność zmusiła go do tego. Ale ostatecznie, czy tak lub owak, nieszczęście Anielci odmienić się nie dało.

Kazimierz był nazawsze z Lolą połączony, a chociaż może czuł się dziś szczęśliwym, — Anielcia widziała dobrze, jak



W Stanach Zjednoczonych schwytano olbrzymiego wieloryba, z gatunku kaszalotów. Jego wielkość jest wręcz rewelacyjna.

się zmienił na jej widok, wstrząsnął i omal nie zemdlał, — ale czas jest najlepszym lekarzem duszy, — on leczy wszystkie rany! I Kazimierz przyzwyczai się z czasem do tego nowego życia, które teraz rozpoczął. Wdzięki pięknej, młodej, kwitnącej małżonki, dobroć jej ojca, bogactwo i wygody otaczającego, — wszystko to razem złączone, gotowe z Kazimierza zrobić jeszcze szczęśliwego człowieka.

„I to szczęście miałażbym kiedy zakłócać?" rzekła Anielcia do siebie, — „nie przenigdy! — Dzisiaj widział mnie po raz ostatni! Teraz ucieknę tam, gdzie mnie więcej nie znajdzie, gdzie nie podąży za mną, — tam otoczy mnie dopiero niebiańska cisza i spokój."

Anielcia, nie wiedząc sama, dokąd ją prowadzą kroki, dotarła aż do brzegu Sekwany. Siedem mostów wznosi się na tej dumnej rzece, która przecina ciało Paryża.

Anielcia stanęła tuż koło Pons des Arts, — zadrżała, zobaczywszy dokąd zaszła.

Musiała widocznie godzinami całemi błądzić po śmieście, bo już zaczynało się ściemniać.

Posępne cienie kładły się na szklistą powierzchnię wody, — prąd porywał je dalej, ciągnąc za sobą za to nowe, — zdawało się, że to cały korowód jakichś fantastycznych, olbrzymich postaci, który nie miał końca.

Miałyżby to być duchy tych osób, które niegdyś podobnie jak teraz Anielcia stały u mostu, bijąc się z straszliwą myślą: tam na dół, czy napowrót do życia? — Były to dusze tych, których ostatnim przytułkiem, ostatniem schronieniem była rzeka Sekwana? Były to duchy tych, którym po burzliwem życiu nic innego nie pozostało jak skok do rzeki, która nie oddawała swoich ofiar; — niosła je ze sobą pomału aż do morza, do tej wspaniałej kolebki ludzkości, zarazem grobu wielu pojedyńczych istot?

Anielcia wsparła się o barjerę i wpatrzyła się w rzekę. Widziała, jak nowe fale napływały, umykając znowu i robiąc miejsce dla następnych. — Ten ciągły jednostajny odpływ fal pomieszał jej jeszcze więcej myśli w głowie.

Zdawało jej się naraz, że woda przedziela się tuż pod nią, otwiera czarną gardziel, z której sterczą jakieś nagie ramiona sięgające po nią, — jakieś głosy z początku ciche, potem coraz krzykliwsze, wołają na nią bezustanku: „Chodź, — chodź tu do nas, — tutaj tylko znajdziesz spokój, biedne stroskane serce, — śmierć to tylko jedna chwila, — przemija prędko, — a potem, — potem czeka na cię wieczna szczęśliwość."

Nikt nie zważał na piękne, blade dziewczę, — ludzie z przedmieścia mijali ją zimno, przechodzili, nie patrząc nawet, — nikt nie spytał jej o powód smutku, — każdy był zajętym swoim własnym losem, — cóż go obchodziła jakaś biedna, nieszczęśliwa dziewczyna!

Dwie godziny minęły, — Anielcia stała jeszcze ciągle u barjery niby słup bez życia, — statua kamienna. Trwała tak bez ruchu, iż mogło się zdawać, że to nie żywa osoba, że nie krąży w niej ciepła krew, — to chyba trup zimny, — zamarzła postać.

Zapadający zmrok ustąpił miejsca nocy; ciemna wszechwładczyni rozpostarła już swe wielkie, czarne jak kruk skrzydła na całe miasto, tylko ludzie bronili się przed tem niemiłem zjawiskiem, bo naraz ukazało się tysiące drobniejszych lub większych rozsianych światełek.

Tylko w to miejsce, gdzie stała samotnie dziewczyna, nie wpadało żadne światło, ciemność zapanowała gruba, tak koło niej, jako też i w niej, — w jej piersi.

Ale co to, — nie brzmiały aż do jej uszu wesołe tony skrzypców i fletów? — To skoczne podrygi ślubnego marsza dochodzące tu do niej.

Naprzód, — naprzód, — rzeźko, — wesoło, — podnieś puhar i wypróżnij go na zdrowie młodej pary.

„Śpiewajcie, cieszcie się, tańczcie", wyszeptała Anielcia, „ja znam już miejsce, gdzie mnie nie będą więcej dochodzić te wesołe tony, — tam na dnie rzeki, tam nie słychać ani skrzypców, ani fletów, — tam wieczny spokój!"

Jakiś policjant przeszedł pomału tuż obok Anielci, spoglądając na nią z ukosa.

Mogło się wprawdzie zrodzić w nim podejrzenie, że dziewczyna ta poto przyszła tutaj do mostu, aby się targnąć na życie, — ale że zachowanie się jej całe nie zdradzało wyraźnego podejrzenia, — nie miał prawa jej zaczepiać.

„Mój miły Boże", pomyślał sobie policjant, „to osobista każdego sprawa! Kto koniecznie szuka śmierci, — niechże umiera, — my nie możemy czuwać nad życiem każdej jednostki."

Stróż prawa przeszedł spokojnie, oddalając się od nieruchomo stojącej.

Jakiś pokorny głos zabrzmiał tuż obok Anielci; mimowoli spojrzała w tę stronę i zobaczyła obcą kobietę, okrytą w łachmany z jednem dzieckiem u piersi a drugie starsze prowadzącą za rękę.

„Żebraczka!" pomyślała Anielcia. „Bóg wprawdzie pozwolił na moją śmierć, ale chce mi widocznie wprzód dać sposobność do dobrego dzieła."

Wyciągnęła sakiewkę i całą jej zawartość wytrząsła w nadstawioną rękę biednej.

Żebraczka przeraziła się prawie hojnością ofiarowanej jałmużny.

„Niech Bóg panią wspomaga!" zamruczała biedna kobieta, „i niech odpłaci pani stokrotnie to, co pani dla mnie uczyniła!"

Anielcia zagryzła wargi, aby nie roześmiać się gorzko, poczem poczęła się oglądać koło siebie na wszystkie strony, — most opróżniał się coraz więcej, — większość schroniła się już do domowych ognisk, — tylko pojedyńczy przechodnie spieszyli zapóźnieni w stronę swych siedzib, — jacyś trzej robotnicy przechodzili właśnie koło niej, pykając ze swoich krótkich fajek, — tuż za nimi postępowała w niewielkiem oddaleniu jakaś pstro ustrojona młoda kobieta, która widocznie chciała uciec przed następującym za nią mężczyzną.

Na widok tego mężczyzny zadrżała Anielcia, — poznała w nim Alfreda Robbera.

Spuściła głowę głęboko aż na piersi, nie chcąc, aby ją poznał.

Ale on ścigał oczyma tylko młodą, ładną blondynkę, która chciała mu się wymknąć, — Anielcia mogła doskonale obserwować, jak czoło jego sfałdowało się w zmarszczki, uśmiech wściekłości przekrzywił mu usta.

Zobaczyła jeszcze, jak rudowłosy zbrodniarz dogonił wreszcie kobietę i przystąpiwszy do niej, począł jej coś szeptać do ucha. W tej chwili jednak uciekła ładna niewiasta na drugą stronę mostu.

Alfred Robber tupnął gniewnie nogą, zaraz jednak rozpoczął dalsze polowanie za ściganą zwierzyną. Obie postacie znikły wreszcie we mgle, która poczęła się kłaść grubemi warstwami na most i rzekę, zaciemniając pojedyńcze światła latarni coraz więcej.

Dzwon starego kościoła Saint-Nicol począł bić, niosąc dźwięki metalu aż do



Onegdaj spłonął w Düppel historyczny młyn, o który w r. 1864 toczyły się ciężkie walki podczas wojny prusko-austrjackiej z Danją. Po zaciekłej walce młyn ten oraz szańce okalające go zostały wzięte szturmem przez Prusaków. Od tego czasu młyn zamieniono na muzeum pamiątek wojennych.

uszu nieszczęsnej, walczącej jeszcze ciągle ze strasznem postanowieniem dziewczyny.

Gdy dzwon umilkł, zabrzmiał z wieży kościoła pobożny chorał, — Anielcia słuchała ze skupieniem melodyjnej pieśni, — wielkie łzy poczęły jej spływać po policzkach.

„O niebiańska pieśni, — o nabożna arjo“, zawołała stłumionym głosem, jakżeż dziwnie uspakajasz moje serce, jak balsam rozlewasz się w niem, — mnie się zdaje, że słyszę głosy anielskie! — Tak, to niebo otwiera się przede mną, aniołowie w białych szatach płyną naprzeciw mnie, niosąc palmy w rękach. Tak, — to właśnie stosowna chwila do rozstania, — o najlepszy, najmiłosierniejszy Ojcze w Niebiesiech! Przebacz mi ten grzech, jaki obecnie popełniam, ale Ty widzisz, ja nie mogę inaczej, ciężar życia zanadto silnie przygniótł moje barki!

„Chociaż rozstanę się ze życiem, — pożegnam ten świat, — nikt nie zapłacze za mną. Nikt, — nikt nie odczuje tego, że biedna sierota, niemająca już nikogo, odeszła, aby nie powrócić. Tam w górze, w jasnych obłokach, gdzie przemieszkują świetlane zastępy Twoich aniołów, tam łaskawy Panie odnajdę może moją drogą matkę; — tu na ziemi nie miałam szczęścia jej mieć przy sobie, pozwól więc, że zobaczę ją po śmierci, — że połączę się z nią! Miłosierny Boże, nie opuszczaj mnie, — wspomóż mnie, aby śmierć była mi lekką. — Matko, — matko, mnie się zdaje, że ty stoisz teraz tuż obok mnie, — podaj mi twą rękę, mamciu droga, — prowadź mnie, — kieruj mną!“

Ponownie oglądnęła się zrozpaczona nieszczęsna na wszystkie strony, — nikt się nią nie zajmował, — nikt nie zważał na nią. — Spiesznie wdrapała się na filar mostu, — czając się i kuląc na górze.

Dziko szumiały bałwany na dole, gwałtowny wiatr gonił po powierzchni wody, — porywał ze sobą pojedyńcze fale, podnosząc je w górę tak, że z hukiem rozpryskiwały się u podnóża kamienia. Zrywały się znowu do góry, jakby wyciągając ramiona po swoją ofiarę, — nie mogąc się doczekać, kiedy tę uroczą anielską postać porwą ze sobą w głębię, — w ciemną przepaść.

„Ja przebaczam wszystkim ludziom, którzy kiedykolwiek zawinili przeciw mnie“, wyjękła Anielcia z coraz wzrastającą nieprzytomnością, „tak, wszystkim przebaczam, — niech będą szczęśliwi, — Lola także, jego żona! — O Boże, daj jej wszystko, czego jej potrzeba, — jemu również, memu gorąco ukochanemu! Weź go w swoją opiekę, o Panie Niebieski, — i pozwól mi, jak się przeistoczę w niewidzialnego ducha, abym mogła bawić w pobliżu jego, — będę nieustannie stała mu na straży, — będę strzegła każdego kroku jego, — będę go ochraniała przed wszelkiemi przepaściami w tem życiu! Ach, cóż to za śliczne, szczytne zadanie przypadnie mi w udziale!“

Anielcia pochyliła głowę wstecz, — jej włosy rozwiązały się, drżącą ręką zdarła kapelusz z głowy i rzuciła go na dół. Wpadł do rzeki, — krótką chwilę począł tańczyć na falach, potem znikł.

Z za czarnych chmur, które osłoniły niebo ciemną zasłoną, wyłoniła się jedna gwiazdka.

Ku niej posłała Anielcia ostatnie spojrzenie.

W oczach migotały jej jakieś nieziemskie już błyski.

Rozpostarła ramiona, — pierś poczęła szybko podnosić się i opadać. W tej chwili przywołała sobie na pamięć obraz ukochanego, — poczem zawrzasnęła jakimś dzikim głosem:

„Boże, bądź mi miłościw, ja nie mogę dłużej znieść tego życia, — bądź zdrów, Kazimierzu! — Bądź zdrowa, matko! Nie opuszczaj mnie!“

„Na dół!“ zabrzmiał jakiś ostry głos, z za mgły wyłoniła się postać policjanta.

Stróż bezpieczeństwa ujrzał widocznie kulącą się postać na filarze, bo powtórnie zakrzyknął surowo:

„Na dół, nieszczęsna, — co chcesz robić?“

W szybkich skokach chciał dopaść do filaru, — ujrzał jeszcze przed sobą bladą, anielsko piękną twarzyczkę dziewczęcia, — dwoje ogromnych oczu spoglądało na niego nieruchomo, pytająco, — następnie zachwiała się cała postać, — pochyliła się na dół, — policjant sięgnął w próżnię.

Krzyk przedarł powietrze, — dał się słyszeć plusk spadającego ciała, — gwałtownie wzburzyły się bałwany, chcąc z podwójną siłą przeprzeć filary stojące im w drodze, lecz o granit łamała się ich cała zawziętość, — jakby z wściekłości, że nie zdołają skruszyć twardej opoki, porwały ciało wyłaniające się właśnie z głębi i poniosły ze sobą w dal.



W miejscowości la Creloenta w Kalifornji stanął pomnik Hindenburga, uwidoczniony na zdjęciu.

„Na pomoc!“ zawołał policjant donośnym głosem, „właśnie rzuciła się jakaś dziewczyna we wodę! Do mnie ludzie, rzucimy jej ratunkowy pierścień, — tam niedaleko jest czółno, — dalejże, musimy spróbować, może nam się uda ją uratować!“

Trzej robotnicy, którzy niedawno przeszli koło Anielci, pospieszyli czemprędzej z drugiego końca mostu, na którym stali zabawiając się jeszcze pogawędką.

„Co, — tę ratować?“ odezwał się jeden z nich „wyjmując fajkę z ust i nachylając się za poręcz mostu, „mnie się zdaje, że spóźniliśmy się odrobinę, — ona już nieżywa. Patrzcie tylko jak daje się pędzić falom spokojnie, — ani się nie porusza!“

„W takim razie musimy przynajmniej wyłowić trupa i odstawić go do morgue“, zauważył drugi robotnik.

„Aha, aby doktorzy mieli co do krajania“, odpowiedział inny, „o nie, ani palcem nie ruszę w tym celu. Tysiąc razy lepiej dla biednej, że pójdzie na dno wody, jak żeby ją mieli krajać na kawałki i studjować na niej medycy, — nie, nie, — do tego nie myślę pomagać. To pewnie córka ludu tak jak i my, więc życzmy jej dobrze i nie dostawiajmy jej do trupiarni szpitala.“

Policjant nie mógł się odważyć puścić się sam na wiatrem spienione bałwany w czółnie, zresztą widział także, że tu wszelka pomoc wykluczona i zapóźna, bo fale poniosły ciało już tak daleko, że ledwo mógł je zobaczyć w ciemności nocy.

„Macie słuszność, moi panowie“, odezwał się do robotników, „lepiej dla niej jak nie wyjdzie więcej na powierzchnię. — A więc znowu jedna samobójczyni więcej, — jedna z wielu, które dzień

w dzień odrzucają swe życie z pogardą. Prawda, muszę to zanotować!"

Wyciągnął swoją notatkę i wpisał do niej następujące słowa:

„Dzisiaj, 25-go maja, o 8 godzinie 15 minut wieczór wskoczyła z mostu des Arts nieznana osoba płci żeńskiej do Sekwany. Nie mogła być więcej uratowaną."

„Tak, toby było załatwione", zawołał stróż bezpieczeństwa, — „aha, nadchodzi już mój następca, który mnie zluzuje. Muszę się udać do biura policji i zameldować to wydarzenie. Do stokroć tysięcy, to fatalne, żeby nie to, mógłbym już teraz odejść do domu. A moja stara zgotowała mi akuratnie dzisiaj wyborną zupę z ryby. Ale — właśnie wpada mi do głowy, tego także nie śmię zapomnieć, muszę ten szczegół dodać do raportu. Słyszałem wyraźnie, jak dziewczyna ta tuż przed skokiem zawołała jakieś imię. Aha, — już wiem, — krzyknęła Kazimierz."

Sumienny stróż bezpieczeństwa wpisał według instrukcji i ten szczegół do swej notatki.

Zamknął notes, schował go do płaszcza i wyciągnął cygaro z kieszeni.

„Mają panowie zapałki przy sobie?" spytał jednego z robotników. „Dziękuję bardzo. Tak, a teraz rozejdźmy się, — ot bagatela. Dziewczyna rzucająca się do Sekwany to coś powszedniego, — zwyczajnego! — Ona nie stanowi wyjątku, — to robi wiele z nich, — do stokroć, to cygaro nie chce ciągnąć! — Dobranoc, moi panowie! — Muszę się spieszyć, abym nie spóźnił się na moją zupę z ryby."

LVI.

Loli noc poślubna

W pałacu hrabiego Zygmunta Sokolskiego pogasły światła. Uroczystość zaślubin i zabawa nie przeciągnęły się zbyt długo.

Ślubna para wsiadła już przed dziesiątą do tego samego powozu, który ich wiózł do kościoła, aby się udać do pałacu Kazimierza na Champs Elysée.

Zygmunt ucałował jeszcze raz gorąco swoją córkę, następnie odprowadził ją do powozu, pomagając jej przy wsiadaniu. Następnie uścisnął prawicę Kazimierza, spoglądając na niego z jakimś dziwnym wyrazem prośby w oczach jakby chciał mówić do niego wzrokiem:

„Uszczęśliw mi moje dziecko, — jam ci przecież oddał wszystko, co miałem najlepszego, najdroższego, — strzeż wiernie tego skarbu, który ci powierzyłem!"

Goście zatrzymali się aż do północy, — obecnie znalazł się Zygmunt razem z Elzą Rodeń sam jeden w małym, sympatycznym saloniku. Wesoło trzaskały drwa w ładnym kaflowym piecu.

Elza przybyła za późno na ślub, nie mogła być obecną podczas ceremonji. Dopiero przy stole zjawiła się nagle. Naturalnie hrabia Zygmunt powitał ją z serdecznością i ciepłem, — ba nawet rozrzewnienie można było spostrzec na jego szlachetnej twarzy.

Elżutka objęła Lolę ze żywością i poczęła ją wycałowywać, życząc jej wszystkiego najlepszego w młodem małżeństwie.

Podając rękę Kazimierzowi zauważyła mimowoli, że ręka ta była zimną jak lód, — spojrzała mu przelotnie w twarz i przeraziła się prawie jego wyglądem. Te blade, sztywne rysy dały jej do zrozumienia, że młody ten człowiek nie czuje się szczęśliwym tak, jakby to każdy miał prawo przypuszczać i spodziewać się po nim.

Elza siedziała właśnie przy kaflowym piecu i patrzała z zamyśleniem na trzaskające szczepy ,kiedy Zygmunt wszedł do środka.

„Już odjechali", odezwał się Zygmunt z odcieniem smutku siadając na krześle, „teraz — teraz zostanę samotny!"

„Samotny, — o nie, mój drogi przyjacielu!" zawołała Elza, podnosząc się i przystępując bliżej do Zygmunta. „Przecież nie stracił pan swego dziecka, — przeciwnie pozyskałeś pan jeszcze do tego syna i to jakiego syna, zacnego, szlachetnego młodzieńca".

„To prawda, zacnym jest mój Kazimierz!" odparł Zygmunt, „szlachetnym w całem słowa tego znaczeniu, — chociaż użył nieco młodości, któżby mu to mógł mieć za złe?"

„Ja nie rozumiem pana, panie hrabio!" zawołała Elza, „czyż odkrył pan co w przeszłości Kazimierza, coby mu mogło być jako błąd wytknięte?"

Zygmunt milczał; nie wiedział, czy ma odkryć przed Elzą tę scenę, jaką przebył z nieszczęśliwą dziewczyną tuż przed ślubem, — z tem pięknem, młodem dziewczęciem, do której Kazimierz swojego czasu słowa miłości szeptał.

„Pan ukrywasz przedemną jakąś tajemnicę!" odezwała się Elza, — „mnie ani na myśl nie przyszło starać się ją zbadać. Tylko to jedno wrażenie odniosłam, że tu w tym domu nie jest wszystko w porządku, jak tego się spodziewałam. Lola wprawdzie świeciła radością i szczęściem, — ale hrabia Kazimierz był tak blady, tak dziwnie rozstrojony i znużony. Kiedy nie czuł na sobie obcego wzroku, marszczył czoło w tak smutne zmarszczki. — Ba, pan także, mój drogi przyjaciel, — nie tak wesoły jakby być powinien. I na pańskiem czole widzę troskę jakąś, — jakieś posępne chmury zwisają nad niem, a ono powinno być przecież wygładzone, radosne, szczęśliwe! — Precz z temi chmurami, — sam widok ich boli mnie."

Elżutka poczęła głaskać białą rączką czoło hrabiego. Bez odpowiedzi odjął tylko jej rękę, przycisnął do ust i ucałował, poczem podniósł się jakby powziął jakieś nagłe postanowienie i począł opowiadać Elżutce wszystko, co się krótko przed ślubem wydarzyło. Począł jej skreślać jak owa mademoiselle Angela, — dziewczę to znał tylko pod tem imieniem, — weszła w jego dom, jak ją znalazł w saloniku zalaną łzami, klęczącą w chwili, kiedy Kazimierz prowadził Lolę do powozu.

Zdał jej dokładne sprawozdanie z całej swej rozmowy z tą dziewczyną, — Elza podczas tego siedziała zamyślona, tylko na jej twarzy począł się malować smutek, ba nawet przerażenie w ciągu dalszego opowiadania.

„Co pan hrabia uczynił, w celu dopomożenia tej nieszczęsnej biednej dziewczynie?" spytała Elza.

„Przysięgam pani, panno Elżutko, że byłem bezradnym. W końcu zdecydowałem się przecież bronić w pierwszym rzędzie szczęścia mojej córki, inaczej dziewczę to gotoweby było uczynić w kościele jaki skandal; — przecież podobne wypadki zdarzają się często. Z ciężkiem sercem postanowiłem zamknąć ją na krótki czas w owym pokoju. — Ale proszę mnie najprzód wysłuchać do końca! Elżutko, ja widzę już, pani się gniewa na mnie! Staremu Walentemu kazałem ją wypuścić zaraz potem, jak tylko powozy odjechały kawałek od domu. Naturalnie natychmiast rozkazałem Walentemu, aby jej wręczył zarazem kopertę z niewielką sumą, by przynajmniej początkowo nie była biedna dziewczyna narażoną na troski i brak".

„Co, na toś się pan zdobył, panie hrabio?" zawołała Elza drżącym głosem odstępując o krok wstecz i posyłając hrabiemu spojrzenie pełne wyrzutów, „ja pana rzeczywiście nie poznaję więcej, panie hrabio! — Jak pan śmiał temu nieszczęśliwemu stworzeniu, które przecież równie dobre prawo posiada do szczęścia i miłości jak pańska córka, zabraniać, — przemocą uniemożliwiać rozmowę z Kazimierzem? Pan niemiałeś prawa odwracać się w ten sposób od tej dziewczyny wołając do niej: Pogrzeb wszystkie twoje nadzieje, on cię nie kocha więcej! Nie, — o nie, — to tylko mógł Kazimierz sam uczynić! Tylko z jego ust mogła usłyszeć swój wyrok!"

Zygmunt spoglądał z przerażeniem, — rysy jego powlokły się smutkiem, — był zanadto szlachetnym mężczyzną, aby nie poznać, że w tym wypadku nie postąpił wedle prawa i sprawiedliwości. Nie, nie był bezstronnym, stokroć nie, — dał się powodować tylko miłością ku swojej córce.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)



Helena Wills-Mody, młoda angielka walczy już 6 lat na kortach tenisowych o palmę pierwszeństwa. W roku bieżącym ponownie staje do zawodów.

HUMOR





Na zawodach lekkoatletycznych

— Jacy ci mężczyźni są niepraktyczni. Zamiast usunąć przeszkody, męczą się przeskakiwaniem. Zaczekajcie, zaraz wam drogę oczyszczę i usunę płotki.

Zawsze w opozycji

— Czy ojciec zgodził się na nasze małżeństwo?
— Jeszcze nie.
— A mama?
— Mama tylko czeka na zezwolenie ojca, żeby mu się sprzeciwić.

Idealne mieszkanie

Jeden z woźnych uniwersytetu warszawskiego, zajmujący mieszkanie w gmachu uczelni, odnajmuje zwykle jeden pokoik ubogim studentom. W związku z tem, ilekroć traci sublokatora, podaje zwykle ogłoszenie następującej treści: „Słoneczny, umeblowany pokój odnajmę jednemu, lub dwom studentom. Uniwersytet na miejscu.“

Pośpiech

Mąż: — Z kim to rozmawiałaś na schodach przez całą godzinę?
Żona: — To nasza sąsiadka. Spieszyło jej się bardzo, więc nie chciała wejść...

Gorączka złota w akwarjum

— Jakto, pan żąda dziś za te złote rybki 25 złotych? Tydzień temu podał mi pan cenę 17 złotych?
— Tak, ale w międzyczasie złoto podrożało.

Nieomylny drogowskaz

Obcy: — Mój kochany, kędy to prowadzi droga do tego miejsca z pięknym widokiem?
Miejscowy: — Niechaj pan przejdzie przez ten mostek, który stąd widać, potem drugą ulicą na prawo, a wtedy trzymaj się tej drogi, na której pełno papieru, od chleba z masłem i kiełbasy, a napewno pan tam trafi.

Co lepsze

Rozmowa między kawalerami w kawiarni:
— Wiesz, chciałbym się ożenić, ale mieć taką żonę, któraby mi przynosiła codzień kawę do łóżka...
— No, to niezłe — ale ja wolałbym taką, któraby mi przynosiła łóżko do kawiarni.

Głos rozsądku

— No i niech mi pan powie — pyta stary, doświadczony krytyk młodego autora po premjerze która zrobiła tak zwaną „klapę“ — kto panu właściwie poradził pisać utwory dramatyczne?
— Nikt mi nie radził — odpowiada autor.
— A czemu pan nie posłuchał tej rady?

Dobry detektyw

— Przepraszam, dowiedziałem się właśnie od portjera, że pańskie nazwisko jest Łapalski... Czy pan jest ten sam Łapalski, który przed dwoma laty okradł bankiera Rubinsteina na 30 tysięcy złotych?!
— Nie, proszę pana — odpowiada zagadnięty — niestety nim nie jestem.

Kurtuazja

W zatłoczonym tramwaju jedzie dama nie pierwszej już młodości i niezbyt wielkiej urody mimo to, pełna jeszcze pretensji, wymalowana, elegancka, pachnąca.
Jakiś pan ustępuje miejsca damie, za co spotyka go uprzejme „dziękuję.“
— Ach, głupstwo! — odpowiada z kurtuazją grzeczny pan — specjalnie ustąpiłem Pani miejsca, by dać przykład obecnym tu mężczyznom, że należy być usłużnym nietylko wobec młodych i pięknych pań...

Tchórz

— Moja pani, dlaczego to pani mąż obcina sobie zawsze tak krótko włosy?
— A, proszę panią, przecież to taki tchórz!

Czarodziej

W Luna-Parku popisuje się magik. Jakiś widz pyta swego sąsiada:
— Panie, czy on naprawdę jest dobrym magikiem?
— Pytanie! Ja mu dałem do eksperymentów fałszywą 20-złotówkę, a on mi oddał zupełnie dobrą.

Jak Kuba Bogu

— Dlaczego nie chcesz palić cygar, które podarował ci na imieniny Karol?
— Świństwo! To są te same cygara, które Karol otrzymał odemnie na gwiazdkę.

Oznaka bogactwa

Dwie panny rozmawiają o swoich narzeczonych.
— Mój chłopiec jest tak zamożny — chwali się pierwsza — że nigdy nie chodzi piechotą. Nawet gdy ma przejść z jednej ulicy na drugą to jedzie taksówką.
— Phi, to mój narzeczony jest bogatszy — woła druga panienka. — Kiedy chce zapalić papierosa, to najpierw wypisuje czek na 20.000 złotych, zapala go i dopiero od płomienia z czeku zapala papierosa!...

Roztargniony profesor

Dwaj uczeni w czasie lotu do stratosfery ulegli katastrofie i musieli wyskoczyć z gondoli balonu.
— Otwórzcie spadochron! — woła jeden z nich, widząc, że jego towarzysz z całym spokojem leci na złamanie karku.
— Po co? — odpowiada drugi — Przecież deszcz nie pada.

Dwie miary

— Tatusiu, — pyta mały Kazio — czy sto złotych to jest dużo pieniędzy?
— To zależy. Jeżeli je wyda mamusia, to jest drobiazg, a jeżeli wydam ja, wówczas będzie to potworna suma.

Niewyczerpane

Po odsiedzeniu wspólnie 3 lat więzienia, wypuszczono na wolność dwie kobiety, które idąc wolno do swej wioski, opowiadają sobie zawzięcie. Nad wieczorem, doszedłszy do mieszkania jednej z kobiet ,przy pożegnaniu odzywa się do drugiej kobiety:
— Kochana pani, przyjdź pani jeszcze jutro do mnie, ponieważ mam pani jeszcze dużo do opowiadania.

Już wyrósł z tego

Matka karci starszego syna za palenie papierosów i zwraca się potem do młodszego dwunastoletniego synalka:
— A ty także palisz?
— O nie, proszę mamy, uważam to za strasznie głupi nałóg — dawno już przestałem.

Bankier i muzyk

Po koncercie sławny pianista zostaje przedstawiony bogatemu bankierowi, który w swej łaskawości zaszczyca artystę kilkoma zapytaniami.
— Niech mi pan powie — powiada bankier — gra pan tylko na fortepianie?
— Nie, panie baronie, gram również i na skrzypcach.
— Aa, to jest praktyczne! Może pan sobie odrazu akompanjować.

Oho!

— Bo to pani tak gada przez nieświadomość. Niby to my, kmiotkowie, nie potrzebujemy nauków. A co jabym zrobiła przez znajomość chemji. Masło podpraw burakiem, jaja zgniłe odśwież, mleko z wody zrób. Oho, dzisiejszy chłop to musi być całkiem nauczny.

Przez czarne okulary

— Powinieneś się rzeczywiście rozglądnąć za jakiemś solidnem zajęciem. Praca jest największą radością życia!
— Cóż z tego, kiedy ja straciłem ochotę do wszelkich rozrywek i nic mnie nie bawi.

Fatalne powołanie

— Lekarze mają wiele nieprzyjaciół na tym świecie.
— A jeszcze więcej na tamtym...

Błagali ją

W promieniach kwietniowego słońca idzie alejami młoda, przytulona do siebie parka.
— Wiesz kochany nim oświadczyłeś się o moją rękę, to całemi tygodniami błagano mnie bym wyszła zamąż — mówi ona?
— A któż tak cię błagał, kochana? — zapytuje narzeczony.
— Babcia, tatuś i mamusia!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.